



ELŻBIETA KACZYŃSKA*

Do roboty! Do roboty! Materiały do historii studenckich „brygad żniwnych” (1951–1955)

W lutym 1947 roku w wyniku decyzji KC PPR powstała Organizacja Służba Polsce (OSP). Głównym celem tej organizacji było „wychowanie nowego człowieka przez pracę”. Do pracy w czasie letnich wakacji rekrutowano uczniów szkół zawodowych. W 1950 roku zasady OSP wprowadzono na uniwersytetach – do pracy w polu w czasie żniw mieli wyjeżdżać studenci. Miejscem pracy były Państwowe Gospodarstwa Rolne (PGR), położone na tzw. ziemiach odzyskanych. Z Warszawy studenci trafiali do PGR na Mazury (dawne Prusy Wschodnie) i na Pomorze Zachodnie. Grupy wyjeżdżające do pracy nazywano „brygadami”; udział w nich nazywano dobrowolnym, faktycznie stosowano rozmaite formy przymusu pośredniego. O PGR napisano już wiele, natomiast praca w nich studentów jest epizodem zapomnianym. To opracowanie jest poświęcone temu epizodowi, przypadającemu na lata 1950 – 1955. Historia brygad żniwnych jest przyczynkiem do historii warunków bytu nie tylko studentów, ale i miejscowej ludności, do historii stosunków między różnymi grupami miejscowej ludności i stosunku kierownictwa PGR, władz lokalnych i ludności do studentów. Jest to też przyczynek do oficjalnej propagandy i wysiłków indoktrynacji ideologicznej ze strony Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR). Podstawę źródłową stanowią wspomnienia własne i relacje kilku osób, które brały udział w „brygadach”, poza tym materiały z archiwum państwowego w Olsztynie (głównie protokoły z zebrań PZPR, kierownictwa PGR i z przeprowadzanych kontroli) oraz zbiory Instytutu Północnego im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie (dawniej: Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego). Wykorzystano też publicystykę w czasopiśmie i te opracowania, które zawierały informacje bezpośrednio wiążące się z problematyką tu poruszaną. W świetle tych materiałów oraz wspomnień wynika, że – po pierwsze – „zaciąg do pracy” miał charakter ideologiczny i nie wydaje się, aby władze polskie miały złudzenia co do ekonomicznych korzyści z pracy

*Elżbieta Kaczyńska, prof. emerytowana, e9kaczynska@gmail.com.

w ramach OSP lub brygad żniwnych. Po drugie, praca studentów nie miała większego sensu, tym bardziej że stan gospodarki PGR był opłakany. Po trzecie, uwidoczniają się konflikty wśród ludności, ze względu na stosunek państwa do autochtonów, ogromne zróżnicowanie nowych osiedleńców, co ulegało zaostrzeniu na skutek złej sytuacji ekonomicznej i niepewności co do trwałości granic lub polityki państwa. Życie na „ziemiach odzyskanych” w latach 1950–1950 jawi się jako tragiczne, a jednocześnie ma aspekty groteskowe.
Słowa kluczowe: Banie Mazurskie, brygady żniwne, dostawy obowiązkowe, ideologia, propaganda, OHP, PGR

In February 1947, as a result of the decision of the Central Committee of the Polish Workers' Party, the Service to Poland Organization (OSP) was established. The main purpose of this organization was to “educate new man through work”. Vocational school students were recruited to work during the summer holidays. In 1950, the OSP rules were introduced at universities, and students were required to go and work in the fields at harvest time. They were dispatched to State Agricultural Farms (PGR) located in the so-called recovered territories. From Warsaw, students were sent to such state farms in Masuria (former East Prussia) and Western Pomerania. Groups leaving for work were called “brigades”; participation in them was called voluntary, but in reality various forms of indirect coercion were used. Much has been written about state farms, but the work of students on them is a forgotten episode. This study is devoted to this practice, which lasted from 1950 to 1955. The story of the harvest brigades constitutes a chapter in the history of the living conditions not only of the students, but also of the local population, in the history of relations between the different groups of the local population, and of the attitude towards students displayed by the management of the State Agricultural Farms, the local authorities, and the local population. It is also a chapter of the official propaganda and ideological indoctrination efforts of the Polish United Workers' Party (PZPR). The source material embraces the author's own memories and the accounts of several people who took part in the “brigades”, as well as materials from the State Archives in Olsztyn (mainly the minutes from meetings of the Polish United Workers' Party and the management of the State Agricultural Farms, and reports from inspections) and the collections of the Wojciech Kętrzyński Northern Institute in Olsztyn (formerly: the Wojciech Kętrzyński Centre for Scientific Research). Articles in periodicals and studies containing information directly related to the issues discussed here were also used. In the light of these materials and memoirs, it appears above all that the “enlistment” was ideological, and the Polish authorities do not seem to have had any illusions regarding the economic benefits of working under the OSP or in the harvest brigades. Secondly, the students' work made little sense, especially as the state-run farm economy was in a deplorable condition. Thirdly, there were local disputes due to the State's attitude towards the indigenes population and the enormous diversity among the new settlers, which had deteriorated as a result of the bad economic situation and uncertainty regarding the permanence of the country's borders and politics. Life in the “recovered territories” in the years 1950-1950 comes across as tragic, while simultaneously displaying elements of the grotesque.

Key words: Service to Poland, Harvest Brigades, recovered territories, ideological indoctrination, settlers

Spółród zgliszcz i gruzów wstał, jak szczęścia świat,
Świt jasných tęsknot i w przyszłość idących lat.
Na próżno wróg niósł głód i śmierć,
Znów wzywa nas radosna pieśń:
Do szeregu! Do szeregu!
Czas nam pracą wzmocnić wolność i ład
Hej, junacy – hej, chłopcy, dziewczęta,
Do roboty! do roboty!
Do roboty! Do roboty!
Był trud i nędza, był ocean łez,
(...)
Do traktorów! Do traktorów!
Niech się święci pokój, praca i plan!
Hej, junacy – hej, chłopcy, dziewczęta

(słowa: Ryszard Dobrowolski, muzyka: Władysław Szpilman)

Wprowadzenie

Praca studentów w polu w czasie letnich wakacji była epizodem zbyt błahym, żeby przyciągać uwagę historyków dziejów najnowszych. Patrząc z perspektywy ponad siedemdziesięciu lat, jakie upłynęły od czasu ich organizowania (były to lata 1950–1955) i biorąc pod uwagę zainteresowania socjologów, wydaje mi się, że warto przypomnieć ten epizod. Może to być przyczynek do zagadnień większej wagi. Nie mam ambicji napisania rozprawy naukowej, dobrze udokumentowanej źródłowo, natomiast szkoda mi zgromadzonych informacji, zebranych opinii i przeżytych doświadczeń. Terytorialny zakres niniejszego opracowania ogranicza się do gmin i – w pewnym zakresie – powiatów, w których były te Państwowe Gospodarstwa Rolne, które znam z własnego doświadczenia; do nich posyłano studentów Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, wśród których się znajdowałam.

Niekiedy historia PRL wydaje się tragikomiczna; tak właśnie widzę studencką obecność w PGR-ach. Część młodzieży brała udział w „zaciągu” socjalistycznym pod presją, część ulegała propagandzie, bo trudno było nie ulegać ładnie brzmiącym hasłom „sprawiedliwości społecznej”, „dobra Ojczyzny”, patriotycznego obowiązku odbudowy kraju” itp. Niektórzy stawali po stronie „nowej rzeczywistości” z przekory wobec rodziców czy Kościoła, więc zgłaszali się do pracy przy żniwach dobrowolnie. Trzeba jednak zaznaczyć, że przed skrajnościami i fanatyzmem większość moich kolegów i kole-

żanek chroniło poczucie humoru. Już w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku naśmiewaliśmy się z utworu „Do roboty”, który z polecenia naszych mniejszych lub większych przywódcy ideologicznych wykrzykiwaliśmy w czasie obowiązkowych śpiewów zbiorowych. Pieśń stała się karykaturalnym symbolem, więc po pewnym czasie znikła z repertuaru. Kiedy wspominam czasy PRL, słyszę „chichot historii”, może nie tej pisanej dużą literą, ale historii pozornie nieważnej, codziennej. Kiedy w latach 2010–2014 czytałam akta partyjne i gminne w Archiwum Państwowym w Olsztynie, nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Teraz, kiedy spisuję to, co zapamiętałam, wyczytałam i usłyszałam, też mnie to bawi.

Materiały do historii brygad zaczęłam zbierać po trochu w 2008 roku, pod wpływem nalegań profesora Franciszka Mleczki, który interesował się życiem na wsiach popegeerowskich i z którym pracowałam w Wyższej Szkole Informatyki i Ekonomii w Olsztynie. Przeglądałam zbiory Ośrodka Badań Naukowych i Archiwum Państwowego w Olsztynie. Potem opuściłam Polskę i przestałam myśleć o pisaniu na temat brygad żniwnych. Jednakże zaczęłam żałować tego, co zdążyłam zebrać i co pamiętam. Dlatego powstał ten tekst, a przygotowując go, dostrzegłam w moich studenckich czasach takie odcienie rzeczywistości, które dawniej umykały mojej uwadze. Żałuję, że zbyt młoda i niedouczona w latach 1951–1955, nie rozumiałam wielu rzeczy i puściłam je w niepamięć. Żałuję też, że nie mogę przekazać tekstu profesorowi Mleczce (zmarł w 2020 roku) i wysłuchać jego opinii.

Materiały

Ani w publikacjach, ani w internecie nie znalazłam żadnych godnych uwagi informacji o studenckich „brygadach żniwnych”, chociaż na temat Powszechnej Organizacji „Służba Pracy” (SP) jest wiele tekstów publicystycznych i opracowań naukowych. Nie ma o nich wzmianek w znanych mi książkach poświęconych historii Warmii i Mazur oraz Pomorza Zachodniego po drugiej wojnie światowej ani w czasopiśmie. Pracownicy Ośrodka Badań Naukowych w Olsztynie (dziś nosi nazwę: Instytut Północny im. Wojciecha Kętrzyńskiego) prowadzili badania terenowe, które przynoszą wiele danych, ale nie o studentach w PGR-ach. W opracowaniach dotyczących Warmii i Mazur w okresie powojennym najwięcej uwagi poświęcono stosunkom narodowościowym – przesiedleniom, asymilacji przesiedleńców itp. Możliwe, że staranna kwerenda mogłaby dostarczyć więcej informacji.

W pracach na temat gospodarki rolnej jest wiele ciekawych informacji o życiu po rozwiązaniu PGR-ów i o powstaniu grupy społecznej nazwanej dziś prekariatem. Więcej o tym napisano w odniesieniu do Warmii i Mazur

niż do Pomorza Zachodniego, dokąd także posyłano studentów. Teren, na którym było najwięcej PGR-ów, do końca 1946 roku nazywany był Prusami Wschodnimi. Od 1945 roku obowiązywała też oficjalna nazwa: Okręg Mazurski. Do zapoznania się z jego dziejami szczególnie ważne są prace Andrzeja Saksona, zwłaszcza kompendium *Od Kłajpedy do Olsztyna* (2011). Cenne są opracowania o stosunkach narodowościowych i religijnych Bożeny Domały (2009). Wydawane były zbiory reportaży – szczególnie ciekawy jest zbiór opracowany przez Joannę Szydłowską (2001) wraz z autorską oceną reportażu jako źródła historycznego.

Inny ciekawy zbiór to wydana przez Hansa-Jürgena Karpa i Roberta Trabę *Codziennosc zapamiętana* (2004). Część artykułów (w liczbie 36), ukazujących się w czasopismach w latach 1946–2002, opublikował Tadeusz Prusiński (wstępem zaopatrzył Andrzej Sakson) pod tytułem *A dąb rośnie* (2002). W tym zbiorze 4 artykuły pochodzą z lat 1946–1957, 4 z lat 1962–1979, reszta była pisana po 1980 roku, najwięcej (8 artykułów) – w 1993 i 1995 roku. Właściwie nie są to reportaże, tylko wybór drobnych tekstów publicystycznych, mało udokumentowanych i w znacznej części tendencyjnych (przede wszystkim antyniemieckich). Nie dowiadujemy się, czym wydawcy kierowali się przy wyborze. Zarówno specyfika krajobrazu, jak i dawny sposób życia na Mazurach rzutowały na rzeczywistość powojenną, zwłaszcza do około 1956 roku, warto zatem poczytać wspomnienia osób, które stąd pochodziły (na przykład Fritza Skowronka *Księgę Mazur*, 2002).

Jak zaznaczyłam na wstępie, informacje o brygadach żniwnych są nader skąpe. Poza poleceniami wysyłanymi do województw i dalej – do powiatów i kierownictwa gospodarstw państwowych, o należyтым przyjmowaniu studentów przyjeżdżających do pracy nie znalazłam o nich ani jednej wzmianki ani w archiwaliach, ani w przejrzanych publikacjach. Zapewne gdzieś są raporty służb bezpieczeństwa i donosy, ponieważ zdarzały się rozmaite incydenty, które na pewno były odnotowane. W czasie mojego (i kolegów) pobytu na Mazurach zdarzyły się co najmniej trzy incydenty, po których powinna zostać jakaś dokumentacja. Może tkwi ona gdzieś między aktami w sprawach wewnętrznych, a może uległa zniszczeniu¹. Albo były w nich niewygodne dla kogoś informacje, albo oceniono jako nieprzydatne, poza tym papiery były w złym stanie i mało czytelne, zwłaszcza te, które nie były pisane na maszynie. Pozostają zatem wspomnienia własne i te, które zebrałam w latach 2014–2017 od sześciu spośród *Nas* – o czym zamieściłam wyżej wstępne i informacje.

¹ Wbrew zasadom archiwizowania dokumentów były one niszczone. Na temat niszczenia dokumentów w stanie wojennym odbyłam rozmowę z ówczesnym dyrektorem Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych, profesorem Marianem Wojciechowskim (dyrektorem w latach 1981–1992).

Historię narodzin pomysłu wykorzystywania studentów do prac polowych można zapewne odtworzyć na podstawie akt Zarządu Głównego ZMP z lat 1948–1956, znajdujących się w Archiwum Akt Nowych. Są tam między innymi sprawozdania, korespondencja, protokoły i inne pisma dotyczące rekrutacji na wyższe uczelnie, organizacji obozów szkoleniowych oraz „brygad żniwno-omłotowych”. Prawdopodobnie można by tam znaleźć decyzję o powołaniu studenckich brygad żniwnych, jednakże do AAN już nie zdążyłam pójść, a w publikacjach nie doszukałam się żadnej wzmianki. Można dodać, że w jednej zaledwie kronice filmowej znalazłam filmik o studentach w PGR-ach z 1953 roku (PKF 35/53, pod hasłem „Studenckie żniwa”). Jak można się domyślać, pokazano w nim studentów pracujących aż się kurczy, poważnych i zaciętych, sprawnie – jak wyszkoleni specjaliści – ładujących zboże na fury. Komentator równie poważnie twierdził, że „ich praca daje świetne rezultaty”.

Do materiałów archiwalnych można zaliczyć Zbiory Specjalne Ośrodka Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie (OBN), które zawierają sprawozdania z badań prowadzonych przez ośrodek. Okresu i tematyki tutaj poruszanej dotyczą raporty opracowane przez Lili Marię Szwengrub oraz przez Bronisława Sałudę². Podobne prowadzono na Śląsku Opolskim, a kierowali nimi Kazimierz Dobrowolski i Stanisław Ossowski. Badania rozpoczęto po 1956 roku i zintensyfikowano je po 1990 roku, kiedy największe zainteresowanie wzbudziły losy osób, których życie uległo wstrząsowi wskutek likwidacji PGR-ów i zmian rynkowych po 1989 roku.

W Archiwum Państwowym w Olsztynie znajdują się nietuzinkowe dokumenty, do których nikt nie sięgnął przez ponad pół wieku. Są to dokumenty gminne i partyjne. Przejrzałam te, które powstały w powiecie bartoszyckim, zwłaszcza dotyczące PGR-u, w którym pracowaliśmy (ja i studiujące na jednym roku ze mną osoby), a mianowicie gospodarstwa w Masunach. Najwięcej informacji przynoszą akta urzędu gminnego i gminnego komitetu organizacji partyjnej. Są to przeważnie protokoły z zebrań i z odpraw kierowników PGR-ów. W aktach urzędu gminy znajdują się między innymi protokoły zebrań Gminnej Komisji Kontroli Społecznej. W zespole Komitetu Powiatowego PZPR w Węgorzewie znajdują się protokoły zebrań plenarnych członków PZPR w gminie Banie Mazurskie. Mają one załączniki – protokoły zebrań tak zwanego aktywu partyjnego, plany pracy, uchwały i ankiety sprawozdawcze³.

Lektura akt była fascynująca zarówno ze względu na tematykę zebrań, jak i treść wystąpień oraz formę spisywania protokółów. Choćby taka cieka-

² *Zbiory Specjalne OBN*, R-427, R-538, R-1016, R-1017, R-1272.

³ AP Olsztyn, zespół Komitet Powiatowy PZPR Węgorzewo, 2448/1.

wostka: protokoły spisywano ołówkami kopiowymi, wówczas obowiązkowo używanymi w szkołach. Pismo jest zawsze czytelne, staranne – można je przeciwstawić bazgrołom z czasów upowszechnienia się maszyn do pisania oraz likwidacji w szkołach przedmiotu „kaligrafia”. Mimo wszystko wskazuje na kiepską edukację protokółantów, chwilami pisownia jest tak zaskakująca, że przyjąłam zasadę dosłownego cytowania fragmentów protokołów, zachowując ortografię, stylistykę i pomyłki. W niektórych przypadkach błędy mogły popełniać osoby repatriowane z terenów anektowanych przez ZSRR 17 września 1939 roku, które krótko uczyły się w polskich szkołach albo wcale do nich nie uczęszczały. Poza tym warto przedstawić treść i poetykę wystąpień na zebraniach. Najczęściej zajmowano się na nich skupem produktów rolniczych, czyli dostawami obowiązkowymi, ale stałym wstępnym punktem referatów była aktualna polityka i ideologia, wykładana w formie propagandowych sloganów oraz – obowiązkowo – demaskowania „wroga”.

Relacje uczestników i wspomnienia własne

Pobudką do sięgnięcia po wymienione materiały były osobiste doświadczenia i rozmowy prowadzone z osobami, które też doświadczyły „pegeerowskiej przygody”.

W „akcji żniwnej” brałam udział cztery razy (w latach 1952–1955) i zdarzyło mi się pozostawać w PGR-ze dłużej, niż trwała praca naszej grupy studenckiej, w sumie zatem pracowałam nieco ponad 4 miesiące. W dodatku okoliczności sprawiły, że – nie licząc wyjazdów na żniwa – przez wiele lat, dwa lub trzy miesiące w roku spędzałam w różnych wsiach na Mazurach i na Suwalszczyźnie. Zachowałam trochę własnych notatek w kalendarzykach kieszonkowych, mam spisane relacje ustne oraz kilka stron opisu, zrobionego przez kolegę – Ryszarda Czaplickiego, z załączonymi trzema zdjęciami. Tylko on w tym czasie miał aparat fotograficzny, dlatego prawie nie ma zdjęć z naszego pobytu w PGR-ach. Dłuższe wywiady prowadziłam z sześcioma osobami. W tym były trzy kobiety – dwie z nich to emerytowane nauczycielki i jedna przedstawiająca się jako była dziennikarka, było też trzech mężczyzn – docent PAN, emerytowany nauczyciel oraz B.K., były pracownik administracyjny PAN, który jako jedyny wśród tych sześciu osób trzeźwo i z goryczą oceniał realia peerelowskie w latach 1951–1955, chociaż był w tym gronie autentycznym działaczem partyjnym i – jak mogę domniemywać – służb bezpieczeństwa. Poza tym zwykle wspominaliśmy brygady w czasie licznych spotkań towarzyskich w szerszym gronie, złożonym z absolwentów tego samego rocznika (1951–1955) Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego. Aby uniknąć stałego powtarzania wyjaśnień, o jakiej grupie studenckiej

mowa, mając na myśli to grono używałam skrótu *My* – *my*, którzy będąc studentami, „kolegami z roku”, wyjeżdżaliśmy latem do pracy do PGR-ów. Okazjonalnie dołączano do *Nas* pojedyncze osoby z innych roczników lub kierunków.

W relacjach uczestników brygad widać trzy odmienne tendencje: ignorancją, pozytywną i krytyczną. Kilka osób nie miało sprecyzowanego poglądu na to, czy nasza praca miała jakiś sens – „trzeba było jechać”, więc nie ma o czym mówić, a PGR-y mało interesowały tę grupę osób. Dwie lub trzy osoby wypowiadały się o naszej pracy entuzjastycznie. Był to K., który już jako starszy pan, doktor habilitowany, stał się bardzo lewicowy, między innymi wychwalał zalety socjalistycznej gospodarki. Drugą była bezpartyjna i wychowana w tradycjach szlachty herbowej koleżanka T., która głosiła nader rozbieżne idee. Oboje twierdzili, że wykonywaliśmy pożyteczną pracę i oburzali się, gdy ktoś chciał podać to w wątpliwość. Większą część rozmówców stanowiły osoby uważające, że państwowa gospodarka rolna była marnotrawstwem zasobów, a wakacyjna praca studentów – bezsensownym pozorowaniem pomocy przy żniwach. Między innymi taką opinię wyrażał już w czasie zaciągu na brygady kolega B.K., który był członkiem PZPR, a nawet aktywistą partyjnym.

Idealizowanie przeszłości w miarę starzenia się jest częste; ludziom w podeszłym wieku młodość wydaje się piękna. Zaskakujące jednak, że na wspomnienia niektórych moich rówieśników, dumnych z pracy w czasie żniw, doświadczenia lat 1956, 1970–1971 ani 1980–1990 nie wpłynęły. Zauważyłam, że nawet ci, którzy byli krytycznie nastawieni do przeszłości, do końca życia pozostali przesiąknięci stereotypami i sposobem wyrażania się w PRL. Na przykład w liście z 14 sierpnia 2012 roku emerytowany nauczyciel C., który nigdy nie był w partii, pisze tak, jak pisało się w czasach cenzury rewolucyjnej, o „czynnym ochotniczym [*sic!*] zaangażowaniu w odbudowę i zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych [*sic!*]”. Wyraża też oburzenie, że można wątpić w „autentyczne zaangażowanie narodu i jego władz w dzieło odbudowy Ojczyzny”. Zaraz potem mamy zdanie o ludności napływowej na Mazurach: „Przesiedleńcy ci ludzili się nadzieją na powrót do miejsc, które zmuszeni byli opuścić, bo deklarowali się obywatelami Polski i nadal pragnęli żyć w swojej ojczyźnie, w niej kultywować tradycje, własne obyczaje, język ojczysty”. Brzmi to jak wypracowanie szkolne, zgodne z ostatnimi wytycznymi ministerstwa szkolnictwa. Z drugiej strony w spisanych przez niego wspomnieniach przeważa krytyczny stosunek do PRL, zwłaszcza do PZPR.

Młodzieżowe Hufce Pracy

W lutym 1947 roku w wyniku decyzji KC PPR powstała Organizacja Służba Polsce (OSP, w skrócie SP). Głównym celem tej organizacji było „wy-

chowanie nowego człowieka przez pracę”. Wychowywani mieli być uczniowie szkół średnich. Ciekawe, że w SP „podejmowanie zobowiązań”, czyli rzekomo dobrowolne zgłaszanie się do pracy, było forsowane głównie w zawodówkach i technikach. Do tych szkół trafiała przede wszystkim młodzież z rodzin niezamożnych, potomkowie osób z elementarnym wykształceniem, czyli z „klasy proletariatu i chłopstwa pracującego”. Wydawać by się mogło, że urodzonych w tym środowisku dzieci nie trzeba przyuczać do pracy i reedukować, jak dzieci „inteligentnych”, tymczasem początkowo mało zajmowano się potomstwem inteligentów. Zdarzało się to w mniejszych miastach, na przykład w Białymstoku – tam w liceum ogólnokształcącym były organizowane „hufce pracy”. Propaganda wymagała, żeby pracę traktować jako „wakacyjny wypoczynek”, chociaż trwała 11 godzin dziennie, a na skutek rozmaitych uroczystych „zobowiązań” ten czas jeszcze przedłużano i pilnowano, by wzmagać wysiłek. Młodzież szła do pracy ze śpiewem (utworu Eugeniusza Pałki, 1926–1981):

Znów się pieśń na usta rwie
SP, hej SP
Nierozłączne siostry dwie
Młodzież i SP

Po paru latach uwagę władz partyjnych przyciągnęła młodzież kształcąca się w uczelniach wyższych. Jak brzmiały decyzje partyjne, jak był sformułowany cel brygad studenckich – można się tylko domyślać, ponieważ nie mam dokumentu o ich powołaniu ani nie wiem, kto był pomysłodawcą. Ideologicznym patronem miał być Związek Młodzieży Polskiej. Przyczyny organizowania wakacyjnej pracy studentów były polityczne, chociaż w prasie, w radiu i na zebraniach słyszało się, że brakowało rąk do pracy w nowego typu przedsiębiorstwach rolnych. Może niektórzy działacze partyjni łudzili się, że studenci rzeczywiście będą pomocni. W żargonie partyjnym brygady nazywano czasem „zaciągami zetempowskim”, poza tym używany był termin Studenckie Ochotnicze Hufce Pracy, który obejmował rozmaite akcje, jak zbieranie stonki ziemniaczanej (przemycanej przez niecnych Amerykanów), „wykopki” – czyli zbieranie kartofli, odgruzowanie Warszawy. Nie wiem, czy zasady organizacji brygad były wyznaczone z góry ani jakie były to zasady, choć można przyjąć, że były podobne do tych, którymi kierowano się w Służbie Polsce. Bezpośrednimi organizatorami wyjazdów do pracy były uczelniane zarządy ZMP i ZSP, działające pod okiem PZPR. Do brygad „żniwno-omłotowych” na uczelniach zaczęto rekrutować w 1950 roku.

Od OSP brygady różniły się tym, że nie miały charakteru paramilitarnego i do pracy przy żniwach werbowano osoby w różnym wieku, bo na studia

przychodziła nie tylko młodzież, ale także ludzie starsi, których edukację uniemożliwiła wojna, tymczasem hufce pracy SP składały się z młodzieży w wieku 16–21 lat⁴. Osoby starsze często unikały wyjazdu na żniwa, bo mogły wymóc się pracą zawodową i koniecznością utrzymania rodziny. Usprawiedliwiano także tych wszystkich, którzy pomagali w polu rodzicom, jednakże z wyraźną przestrogą, że dotyczy to tylko dzieci gospodarzy starych i małorolnych.

Studenci jednego roku studiów tworzyli brygadę, a jeśli rocznik był liczny, to dwie brygady lub więcej. W każdej z nich musiał się znaleźć aktywista partyjny, którym był jeden z kolegów albo ktoś przyłączony do grupy. Taki „odpowiedzialny za brygadę” sprawował nadzór i pośrednio lub bezpośrednio był informatorem służb bezpieczeństwa, niekiedy po cichu nazywano ich *kapo*. Dobrowolność była formalna, w rzeczywistości działał przymus nieformalny i tworzono atmosferę strachu: jeśli nie pojedę, powiadało wielu, będą przykrości – nie dostanę stypendium albo miejsca w akademiku, „dadzą mi w kość” na ćwiczeniach wojskowych (wtedy odbywało się je przez jeden dzień co tydzień), a w najlepszym wypadku „obsmarują” w „Błyskawicy”⁵.

Na członków PZPR i ZMP był nałożony obowiązek uczestnictwa w brygadach. W praktyce wywiązywanie się z tego obowiązku nie było gorliwe. Znałam wielu członków ZMP i paru partyjnych (niemających rodzin na utrzymaniu lub rodziców – gospodarzy małorolnych), którzy nigdy na żniwa nie wyjechali. Nie pamiętam, żeby ktokolwiek był z tego powodu bezpośrednio i otwarcie represjonowany, ale może szły za tym negatywne opinie przy ubieganiu się o stypendium lub o pracę. Obawa przed przydziałem pracy po studiach była poważna, ponieważ ktoś, kto miał perspektywę zatrudnienia tam, gdzie mieszkał, mógł być zmuszony do pracy nauczycielskiej w jakiejś odległej wiejskiej szkole. Presja była silna, więc na brygady zgłaszali się także studenci nienależący do ZMP (nie było ich wielu, bo na kierunkach humanistycznych zetempowcami było 80–90% studiujących). Tylko odważniejsi nie poddawali się presji. Byli też „dobrze ustawieni” gorliwi działacze i ideolodzy; znam takich na historii UW, którzy w latach 1951–1955 nigdy nie wyjechali z *Nami* (nazwiska i inicjały pominę, choć niektóre przeszły do historii).

Brygady żniwne nie były jedyną formą manifestowania troski o Ojczyznę i Socjalizm, ponieważ na jesieni studentów zwalniano z zajęć w celu wyjazdu

⁴ O „hufcach pracy” pisała Joanna Mercik (2018: 128–142).

⁵ Pod tą nazwą sami studenci musieli redagować gazetki ścienne, których idea i nazwa były bezpośrednim przeniesieniem z ZSRR. W umieszczonych tam tekstach oraz rysunkach przedstawiano wydarzenia godne uwagi i nagany za niewłaściwe zachowania się X-a czy Y-a oraz ujawniano „wrogów klasowych”. Z osobą napiętnowaną lepiej było się nie zadawać, chyba że taka osoba zrehabilitowała się pracą lub gorliwością w donosach.

do kopania i zbierania ziemniaków. Do tego już były używane maszyny, tak zwane kopaczki, tyle że w PGR-ach było ich za mało albo były w złym stanie i stawały się mało użyteczne w czasie długotrwałej złej pogody, kiedy pola ziemniaczane zamieniały się w błoto, ziemia była ciężka, kartofle oblepione mokrą ziemią, szybko gnijące. Na parodniowe „wykopki” jeździli tylko mężczyźni, ponieważ na jesieni nie było wolnych kwater (latem były urządzane w szkołach), praca była wyjątkowo uciążliwa i przykra. Termin wyznaczano z góry, bez względu na pogodę, więc studenci mokli, marzli i taplali się w błocie, mieszkali czasem razem z więźniami, zganianymi do tej pracy.

W czasie studiów raz jeden, tylko na jeden dzień, wysłano także mnie i koleżanki, nie tylko kolegów, do zbierania ziemniaków gdzieś w okolicach Warszawy. Pracowaliśmy wspólnie z więźniami, a potem jedliśmy z nimi posiłek w stołówce więziennej. Ani w pracy, ani w czasie kolacji nie było żadnych incydentów lub zaczepek. „Osadzeni”, jak nazywano skazanych na więzienie, byli spokojni i osowiali, najwyraźniej zmęczeni i zrezygnowani. W październiku 1954 roku grupa mężczyzn z naszego roku (część się wymigała) pojechała do pracy przy wykopkach, bodaj na tydzień lub dwa. Na dworzec w Olsztynie pociąg przywiózł 700 mężczyzn z różnych uczelni warszawskich, tutaj czekali na dowieszenie do Ornety. Wokół dworca czynne były wszystkie knajpy, których personel w pośpiechu dostarczał „lzy proletariatu” (tak nazywano najtańszą wódkę „z niebieską kartką” – bo taki kolor miała naklejka na butelce; była też z czerwoną kartką – troszeczkę droższa „krew proletariatu”) przybyłym. W końcu lat siedemdziesiątych władze partyjne próbowały zorganizować wyjazd studentów historii z Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, ale jako kierownik studiów oświadczyłam, że kto wyjedzie, jego nieobecność na zajęciach nie będzie usprawiedliwiona. Studenci skwapliwie skorzystali z takiego zakazu, a mnie nie ukarano (karano mnie tylko finansowo), uznając, że albo mam „wariackie papiery”, albo jakiegoś protektora „gdzieś wysoko”.

Komediodramat. Studenci w PGR-ach

Pisząc o naszej pracy w czasie żniw, warto przypomnieć parę podstawowych informacji o PGR-ach, nie próbuję jednakże wdawać się w historię PGR-ów – wiele już o nich napisano. Szczególną uwagę historyków i socjologów obecnie przyciąga sytuacja ludzi z PGR-ów, których większość po 1990 roku straciła pracę, nie umiała przystosować się do nowych warunków i została wyrzucona na margines życia społecznego. Koszty transformacji pamięta się do dziś, natomiast katastrofa, jaką było uspołecznienie i upaństwowienie, jakoś odeszła w niepamięć, natomiast zdarzają się próby rehabilitacji pań-

stwowej gospodarki rolnej. A przecież w latach 1945–1950 PGR-y wegetowały (jeśli wierzyć księgowości, niektóre z nich zaczęły przynosić dochody w czasach Edwarda Gierka). Nie zamierzam ukrywać mojej negatywnej oceny PGR-ów, na którą złożyły się lektury, osobiste rozmowy z ludnością wiejską i znajomość paru takich gospodarstw.

W 1949 roku majątki ponemieckie, należące do osób uznanych za kolaborantów i ziemie opuszczone zostały przejęte na własność Państwa i zorganizowane jako Państwowe Gospodarstwa Rolne. W 1950 roku do PGR-ów w Polsce należało około 2 mln 200 tys. ha, w 1969 roku – o 500 tys. ha więcej, według danych z 1980 roku zaś 18,5% wszystkich gruntów ornych w Polsce należało do PGR-w. Liczono, że jest ich ponad 6100, zgrupowanych w blisko 3800 przedsiębiorstwach (przedsiębiorstwo było zwykle formą organizacji kilku gospodarstw hodowlanych, wyspecjalizowanych w innej produkcji lub produkujących zboże). Jeden PGR liczył przeciętnie około 460 ha. Najwięcej było ich w pięciu województwach na ziemiach przyłączonych do Polski po drugiej wojnie, w tym w Olsztyńskim i Szczecińskim.

Decyzja o organizowaniu hufców pracy na wyższych uczelniach zapadła w 1950 roku i prawdopodobnie latem następnego roku już je zaczęto organizować, ale wtedy dopiero zdawaliśmy na studia. W czerwcu 1952 roku kończyliśmy I rok historii i wtedy skierowano nas do miejscowości Masuny nad rzeką Łyną, zwanej wówczas Masynami (nazwę oczywiście przekreściliśmy na S...ny). Byliśmy tam od 1 do 23 sierpnia 1952 roku, w liczbie ponad 20 osób. Pobyt w „brygadzie” trwał 25 dni, ponieważ dojazd na Mazury i powrót zajęły prawie cztery dni. Na pierwszym roku było około 120 studentów, czyli zaciągnęło się nie więcej niż 20%. Co prawda, co najmniej dwa razy tyle mogło być usprawiedliwionych pracą zawodową – wówczas zaczęli studia ludzie starsi, którym naukę przerwała wojna.

Na listę ochotników studenci wpisywali się z kilku powodów: po pierwsze, z obawy lub z obowiązku partyjnego, po drugie, z powodów ideologicznych (a przynajmniej mglistego poczucia obowiązku obywatelskiego), po trzecie, z ciekawości i po czwarte – wskutek złych warunków materialnych, które nie pozwalały na spędzanie wakacji na Mazurach. Przecież była to kraina opisywana jako „magiczna”, po wojnie zaś cieszyła się sławą „dzikiego Zachodu” z opowieści o kowbojach. W moim przypadku zadziałały powody trzeci i czwarty, choć do pewnego stopnia także drugi: po pierwszym roku studiów nie miałam nawet 18 lat, za to miałam zbyt mało wiedzy o rzeczywistości, by wątpić w pożytek wyjazdu i pracy w gospodarstwie rolnym, a za dużo złudzeń i naiwności. O pracy w polu ani ja, ani większość moich koleżanek i kolegów nie mieliśmy pojęcia; w czasie okupacji z gromadką dzieci zbierałam kłosa pozostawione przy podbieraniu i wiązaniu skoszonego zbo-

za oraz zbierałam liszki bielinka kapustnika. Na Mazury wyjeżdżałam jednak chętnie z powodów osobistych, nawet po ukończeniu studiów i po obronie pracy magisterskiej w 1955 roku dołączyłam do kolegów z młodszego rocznika studiów. Moi rodzice znajdowali się w fatalnej sytuacji, jako studentka musiałam zarabiać, nie było mowy o wyjazdach wakacyjnych, więc brygady były szansą poznania kawałka Polski i wydostania się, choćby na krótko, z 15 metrów kwadratowych, na których mieściła się nasza czteroosobowa rodzina. Wyjazd na żniwa dawał możliwość przebywania wśród przyjaciół.

Miejsce i czas akcji

Pierwszy raz uczestniczyłam w brygadach żniwnych w 1952 roku w PGR w Masunach, wówczas nazywanymi Masynami, w gminie Sępopol, w powiecie bartoszyckim. Pod względem historycznym Bartoszyce (dawniej Barsztyn lub niemiecki Bartenstein) leżą na terenie historycznej Barcji, w Prusach Dolnych, na Nizinie Sępopolskiej, w dolnym biegu rzeki Łyny. Powiat bartoszycki utworzono w 1946 roku, należał wówczas do województwa olsztyńskiego. Sępopol, dawniej zwany Schippenbell (niekiedy podaje się wcześniejszą nazwę Schiffenburg), był małą miejscowością, niemal doszczętnie zniszczoną przez wkraczającą w 1945 roku Armię Czerwoną. Utracił dawne niemieckie prawa miejskie i stał się „osadą miejsko-wiejską”. Prawa miejskie odzyskał w 1973 roku. W tym czasie PGR-y były grupowane w tak zwane zjednoczenia, które musiały być w każdym województwie. PGR-y w powiecie bartoszyckim podlegały Zjednoczeniu w Ornece (zostało ono rozwiązane w 1959 roku).

Do 1945 roku miejscowość nazywała się Massaunen; w 1880 roku został wybudowany pałac (w 1910 roku przebudowany), który był siedzibą właścicieli i zarządców. Przez pomyłkę niekiedy nazywano go „pałacykiem Göringa”. W 1946 roku dobra przekształcono w Państwowe Gospodarstwo Rolne Kromarki, któremu przydzielono również pałac. Ulokowano w nim biura administracji PGR, przedszkole i mieszkania pracowników, które uznano za widne i suche, ale opisano jako utrzymywane w brudzie. Pałac został ostatecznie opuszczony w latach siedemdziesiątych XX wieku i popadł w ruinę. Liczba mieszkańców nigdy nie przekroczyła tej sprzed wojny: w 1939 roku było ich 377, w 1983 roku – 306, w 2022 roku – już tylko 144.

W 1953 roku My – teraz już po drugim roku historii (liczba studentów zmalała do około 70–80) – zostaliśmy posłani na Mazury i rozdzieleni do dwóch PGR-ów, a do trzeciego pojechali studenci historii sztuki (z tego samego Wydziału Historycznego UW). Były to gospodarstwa Grunajki (dawna poisownia: Grüneyckien albo Grunecken), Lisy i Surminy (zwane wówczas

Żurminami). Te trzy miejscowości są położone w powiecie gołdapskim. Liczba mieszkańców w latach trzydziestych XX wieku wahała się od około 80 do około 90, a obecnie (2020 roku) mieszka tu 50 osób. Wieś Surminy była jedną z większych wsi mazurskich. W 1939 roku było tu ponad 450 mieszkańców, w 2010 roku już tylko 170. PGR-y znajdowały się po sąsiedzku, jeśli jechało się drogami gruntowymi i polną drogą przez las z Lisów do Grunajek było 7 km i 3 km przed Lisami mijało się zakwaterowanie historyków sztuki, więc można było odwiedzać się i poznawać warunki w paru gospodarstwach.

Na Mazurach mogliśmy czuć się jak na bezludziu, w krainie pięknej i nieznannej, w warunkach jeszcze trudniejszych, niż przeżywaliśmy w powojennej Warszawie. Ani zabudowa, ani mieszkańcy nie przypominali niczego i nikogo dotychczas znanego, zetknęliśmy się z pracą, z którą tylko mniejszość z *Nas* miała już do czynienia. Szkoda tylko, że niemal wszyscy byliśmy byt młodzi, naiwni i niedouczeni, żeby naprawdę skorzystać z doświadczenia mazurskiego. Nie przypadkiem pierwszy rozdział książki o Warmii i Mazurach Joanna Szydłowska zatytułowała „Euforia i przerażenie: 1945–1948”. Osoby niestroniące od lektur były pod wpływem romantycznego opisu Mazur, krainy „magicznej”, przedstawionej przez Melchiora Wańkowicza w książce *Na tropach Smętka*, wydanej po raz pierwszy w 1936 roku. W powojennych dziennikarskich opisach widać wpływ Wańkowicza, ale do około 1956 roku zdominowały ją opisy „bastionu niemieckiego militarysty”, stworzonego przez Prusaków efektu germanizacji. Wyniki plebiscytu w 1920 roku raczej pomija się milczeniem. Dla Polaków Mazury są ziemią „odzyskaną”, według oficjalnego stereotypu polskim krajem, kolonizowanym przez Niemców. Krajem, który po drugiej wojnie światowej stał się „krajem ruin i piękna”, ale i niebezpiecznym „dzikim Zachodem”, trudnym „do oswojenia”, czyli przywrócenia jego dawnego, „właściwego” charakteru (Szydłowska 2001: 33–41). W czasie odbudowy i zagospodarowania i ten charakter uległ zafałszowaniu. Wbrew prawdzie historycznej usiłowano wydobyć tutejszą „polskość”, zatrzeć brak „polskiego stylu” w kościołach, domach i sprzętach. Jerzy Putrament napisał, że na Mazurach panuje „Ohyda pruskiego muru”. Walcząc z niemieckością, wzięto się zatem za architekturę i „poprawiano” miasta, odbudowując je na wzór polskiego baroku, co najlepiej widać w Olsztynie. Do tego dochodziła polonizacja nazw, początkowo dość przypadkowa, bo pierwsze nazwy nadawali żołnierze i kolejarze.

Jeśli chcemy lepiej zrozumieć życie na Mazurach w pierwszym dziesięcioleciu po wojnie, warto sobie uzmysłwić, że wojska radzieckie zniszczyły 63% linii kolejowych, 80% budynków w Gołdapi, Braniewie, Nidzicy, Węgorzewie i Kołobrzegu, 65% w Morağu. Tymczasem co miesiąc trzeba było

gdzieś umieścić 30–35 tys. osób, więc na zbiorowe kwatery zamieniano baraki dworcowe i fabryczne oraz opuszczone domy, szybko dewastowane przez przypadkowych i tymczasowych lokatorów. Niczego nie naprawiano – ludzie nie czuli się „u siebie”, poza tym brakowało narzędzi i materiałów. W Olsztynie jeszcze w latach osiemdziesiątych XX wieku starzy ludzie mieszkali w barakach. Po skierowaniu do pracy repatrianci byli osiedlani w czworakach lub w budynkach gospodarczych majątków poniemieckich. Dostawali od rządu rozmaite ulgi, zwolnienia od opłat i pożyczki, ale mimo to życie nie było łatwe. Panował bałagan – pracownicy Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (PUR) najczęściej nie mieli żadnych kwalifikacji, narzekali na marne uposażenie, więc kradli z magazynów, w tym leki przeznaczone na ratowanie zdrowia przesiedlanych. Decyzje podejmowało 10 różnych organów, co zwiększało panujący chaos. Trudno pojąć późniejsze sentymenty do państwowej gospodarki rolnej. Do warunków pracy i życia na Mazurach, a zwłaszcza w gospodarstwach rolnych, jeszcze powrócę.

Kierunek kolejnego wyjazdu w 1954 roku wyjątkowo był odmienny: posłano nas w Szczecińskie. Pojechały tam dwie grupy z Wydziału Historycznego UW: historycy (czyli *My*) oraz archeolodzy. Obie grupy dojechały pociągiem do Myśliborza, gdzie w latach 1882–2000 była stacja kolejowa, obecnie nieczynna. Stąd na przyczepach samochodowych historycy pojechali do Czółnowa, archeolodzy – do Otanowa. Obie miejscowości dzieliły 3–4 km, jeśli szło się najkrótszą drogą polną, dlatego odwiedzaliśmy się często. W Czółnowie było nas nie więcej niż 15 osób, spośród przebywających w Otanowie zapamiętałam tylko 6; ciekawostką jest to, że do archeologów dołączyła polonistka A.L.-K. (w 1991 roku otrzymała tytuł profesora), która po powrocie napisała nowelę o miłości studentki i prostego rolnika z PGR-u, opartą zapewne na realiach z Otanowa i opublikowaną w jakimś czasopiśmie.

Ostatni raz wyjechałam na żniwa w 1955 roku już jako magister, po ukończeniu studiów, razem z grupą z młodszego rocznika – to już nie byli *My*. Koledzy i koleżanki z mojego roku rozproszyli się po Polsce. Pojechaliliśmy do PGR-u położonego w okolicy Gołdapi, blisko czynnej jeszcze stacji kolejowej. Rano i wieczorem, z prędkością nie większą niż około 30 kilometrów na godzinę, jeździł prawie zawsze pusty pociąg. Szerokotorowa kolej łączyła wtedy Olecko, Ełk i Gołdap. Poza budynkiem, w którym mieszkaliśmy i w którym urzędował kierownik, nie było ani domów, ani mieszkańców.

Nasza praca w socjalistycznej gospodarce rolnej

Pierwszym doświadczeniem była podróż. W młodości łatwiej znosi się trudy, które zaczynały się już na dworcu kolejowym w Warszawie: oczekiwa-

nie na podstawienie pociągu, szturmowanie wagonów, żeby zdobyć miejsce w przedziale. Na ogół co sprawniejsi mężczyźni wskakiwali pierwsi i zamylali się w przedziałach, do których potem udawało nam się przedrzeć. Jazda trwała bardzo długo. Bywało, że musieliśmy przesiadać się do lokalnych pociągów, a ostatni etap drogi odbywaliśmy na przyczepach do traktorów. Zanim w 1952 roku dotarliśmy do Masun, trzeba było przesiadać się dwa albo trzy razy. W podniszczonych budynkach przydzielano dwie izby – dla mężczyzn i kobiet. Czasem były tam prycze, niekiedy spaliśmy na podłodze, na siennikach napełnianych przez nas słomą, która przebijała pokrycia i kłuła, poza tym były w niej różne drobne żyjątka. W dzień kąsały końskie muchy, kaleczył oset, rosnący w zbożu. Nie tyle wysiłek fizyczny, ile takie drobiazgi najbardziej uprzykrzały życie. Dostaliśmy granatowe kombinezony z bawełnianego caju (a może z konopnego zgrzebnego płótna) oraz buty gumowe, dla dziewcząt zbyt duże, ciężkie i odparzające nogi. Dlatego chodziło się w najtańszym obuwiu PRL – w tenisówkach, więc nogi wokół kostek były pokaleczone rżyskiem i czerwone od pokrzyw. Czasem urządzenie posłań poprzedzała „odprawa” lub zwoływano ją po kolacji⁶.

Posiłki przygotowywała kucharka. Gorący obiad jadało się wieczorem, po pracy; składał się z dwu dań i kawy zbożowej, czasem kompotu. Rano i w południe dostawaliśmy kawę zbożową, rano zabieloną mlekiem z kozuchami i niewypieczone, gliniaste pieczywo, najczęściej posmarowane topionym serem. Ciemną wstrętną ciecz, zwaną kawą, przywożono nam na pole w dużych kankach do mleka. W Masunach podawano nieświeże mięso, kompot trzymano w ocynkowanym kubie, więc zdarzały się zatrucia. Uzupełnialiśmy zaopatrzenie zbieractwem, w lesie jeżyn, poza tym spadających ze zdziczałych drzew owocowych jabłek, zanim zgniły. Jeśli były w nich robaki, to znaczyło, że są już wystarczająco dojrzałe. Jadło było niesmaczne i monotonne. Dobrze wspominamy Lisy (1953 rok): była tam kucharka, której pomagaliśmy w ramach tak zwanych dyżurów kuchennych i mieliśmy z nią dobrą komitywę. Nauczeni doświadczeniem z poprzedniego roku zajęliśmy się też zaopatrzeniem. Czasem udawało się wyjednać u kierownictwa PGR-u przydział mięsa, poza tym stale jadaliśmy duszone w śmietanie grzyby, ziemniaki i świetne zsiadłe mleko.

Sprawa wyżywienia była powodem afery, którą potem wspominaliśmy z zabawieniem. Otóż historycy sztuki, pracujący koło Bań Mazurskich (1953 rok),

⁶ Pierwsza „odprawa”, jaką pamiętam, była długa i ponura. Prowadził ją w Masunach W. (później znany z wielu publikacji i otaczany niemal czcią profesor Uniwersytetu Gdańskiego), gorliwy wyznawca obowiązującego światopoglądu i zabiegający o przyjęcie do PZPR ponurak (zrealizował marzenia jako kandydat w 1953 roku, zaszczytu członkostwa dostąpił w 1954). Z późniejszych wyjazdów pamiętam odprawy jako krótkie i rzeczowe.

zostali oskarżeni o zabicie i zjedzenie cielaka. Zaczęło się dochodzenie, prowadzone przez milicję, przyjeżdżali przedstawiciele administracji lokalnej, organizacji partyjnej i kierownictwa PGR-ów. Studenci tłumaczyli się, że znaleźli cielę już nadgryzione przez wilki (jakoś nie słyszeliśmy, żeby w okolicy kiedykolwiek ktoś widział wilka), więc je „spożytkowali”. Tłumaczenia były zresztą rozmaite, każdy z uczestników miał bardzo wiele do powiedzenia, a opowiadane historie były tak niezwykle, że w końcu nikogo nie aresztowano, tylko PZPR i ZMP na Uniwersytecie Warszawskim dostało negatywną opinię o uczestnikach brygady. Kiedy rozpoczął się rok akademicki, zwołano zebrania, na których padły oskarżenia o zagarnięcie mienia społecznego i o brak moralności. Ktoś spośród aktywistów doniósł zebraniem, że jego koledzy paskudnie zachowywali się: pili alkohol i załatwili się w owsie. Byłam na zebraniu, które trwało od wczesnego popołudnia przez co najmniej 8 godzin. Wszyscy już byli zmęczeni, chcieli iść do domu, przewodniczący zebrania chciał je zamknąć, a tu jednemu z obwinionych coś błysło w oku, podniósł rękę i poprosił o głos „w sprawie formalnej”. Zmęczony prowadzący zebranie aktywista udzielił mu głosu, a on: „Zgadzam się z naganą, zasłużyłem na nią, ale proszę zaprotokółować, że nasraliśmy nie w owsie, a w rzepaku”. Na to podskoczył jego kolega: „O nie! kolega się myli! To nie był rzepak, tylko jęczmień” – i w ten sposób, ku rozpaczy prowadzących zebranie i ogólnej wesołości (mimo że przesiadzieliśmy do północy), rozgorzał spór o to, gdzie „nasrano”. Uchwały o naganach (wpisywano je do indeksów) już nie zdołano podjąć.

Rozprawa z historykami sztuki jest w pewnym sensie karykaturą sprawy, toczącej się w gminie Banie Mazurskie w sprawie siewnika w Lisach i poważniejszej, bo obwinionymi byli stali pracownicy PGR-u. Według dokumentu z archiwum olsztyńskiego (akta Komitetu Gminnego PZPR) ktoś doniósł, że gdzieś w krzakach w Lisach stoi siewnik. Z opisu zawartego w dokumentach trudno się domyśleć, o co chodziło – zapewne o to, że stoi bezczynnie, i o to, że ktoś coś wiedział, ale nie powiedział, siewnik miał jechać dokądś, ale nie dojechał itp.⁷

Trudno oddać pierwsze wrażenia po przybyciu na miejsce zakwaterowania i pracy. Po przeżyciach wojennych i w czasie powstania warunki życia nie wydawały się złe, były raczej ekscytujące. Cieszyliśmy się z lasów, zdziczałych sadów, miejsc do kąpieli. W Masunach pływaliśmy w Łynie, wówczas jeszcze całkiem dużej rzece. Z potrzeby i ciekawości chodziliśmy do Bartoszczyk, Bań Mazurskich, Gołdapi i Myśliborza. Wtedy były to pograżone w marazmie

⁷ AP Olsztyn, zespół Komitet Powiatowy PZPR Węgorzewo, 2448, nr 1 - „Komitet Gminny Banie Mazurskie”, k. 65.

mało zaludnione resztki miast, których dawny urok przysł na skutek zniszczeń. Po południu można było zobaczyć już tylko mężczyzn upojonych alkoholem.

W brygadach praca (nazywana przed dziennikarzy „wakacyjnym wypożyczynkiem”) miała trwać 11 godzin codziennie, jak w SP. Formalnie 11 godzin rozumiano jako czas pracy, bez liczenia przerw na posiłki, na ogół jednak w pole wychodziło się o 7.00 rano, około 13.00 po południu trzeba było wrócić na obiad i po godzinie znowu pójść na pole. Rozkład dnia zależał trochę od miejscowych warunków – organizacji wyżywienia, odległości budynków od pola, od obecności innych pracowników itp. W świetle akt lokalnych wiadomo, że kierownicy PGR-ów otrzymywali odgórne polecenia przyjmowania studentów i zapewnienia im odpowiednich warunków. Zalecenia powstawały zapewne w Ministerstwie Rolnictwa i w Wydziale Rolnym KC PZPR, a docierały do poszczególnych gospodarstw za pośrednictwem władz wojewódzkich i powiatowych.

Oto fragment protokołu z „odprawy roboczej” w Zjednoczeniu PGR w Orniecie z 20 września 1954 roku (punkt porządku dziennego zatytułowany „W sprawie zorganizowania odpowiednich warunków dla zaciągu ZMP oraz w sprawie omłotów i odstawy zbóż dla Państwa”): „Dyrektor Zjednoczenia ob. D(...) powiedział, że zaciąg zetempowski ma dla nas ważne i doniosłe [*sic!*] znaczenie dlatego, że ludzie ci przychodzą na dłuższy okres czasu [*sic!*]. W związku z tym musimy im stworzyć odpowiednie warunki zarówno pod względem ich zaklimatyzowania [*sic!*], jak i zabezpieczenia właściwego frontu pracy”. Należało zadbać o zakwaterowanie i wyżywienie oraz „o dobry obiad ze sztabem zespołu i miejscową młodzieżą”. Jeśli wynikną jakieś trudności, należy natychmiast zwrócić się do KP (Komitetu Powiatowego) PZPR i do PPRN (Prezydium Powiatowej Rady Narodowej)⁸. Mogę dodać, że nigdy nie mieliśmy „dobrego obiadu ze sztabem zespołu i miejscową młodzieżą”; podejrzewaliśmy, że na obiad zapraszano jednego lub dwu kolegów, naszych „opiekunów” wyznaczonych przez uniwersyteckie władze partyjne. Już wtedy część z *Nas* odczuwała coś w rodzaju zażenowania, że zapracowanemu personelowi sprawiamy kłopot.

Krytyczny wobec socjalistycznej rzeczywistości C. uważał, że brygady coś dały ich uczestnikom, jednakże nie wymienił żadnej korzyści z naszej pracy dla PGR-ów. Jak pisał, „Ze strony pracowników miejscowych zaznawaliśmy wiele okazywanej nam życzliwości, gościnności i uczynności. Choć dało się także dostrzec w ich zachowaniu pewną ostrożność i wstrzemięźliwość, zwłaszcza w ujawnianiu własnych zapatrywań spo.-polit. Było to z pewnością kon-

⁸ Archiwum Państwowe w Olsztynie, zespół 1006, sygn. 37, karta 1-2.

sekwencją wcześniejszych doświadczeń życiowych. Mieliśmy tego świadomość i nie przekraczaliśmy wzajemnego zaufania i prywatności”. Wspomnienia odnoszą się głównie do PGR-u Grunajki (1953 rok). Na każdej brygadzie rozmawiałam bez świadków z osobami, nawet należącymi do ZMP i PZPR, które po cichu drwiły z naszej pracy i jakości zbiorów.

Jeden z kolegów – B.K. – przyszedł na studia, pracując zawodowo, dlatego wraz z ludźmi ze swego zakładu w 1952 roku został wysłany do gospodarstwa koło Ornety. Na podstawie doświadczeń wyniesionych z pracy w tym gospodarstwie i późniejszych wyjazdów z *Nami* (w 1953 i 1954 roku) ugruntował się w przekonaniu, że brygady były marnotrawieniem wysiłku. Na przykład studenci byli posyłani do ustawiania snopków po przejściu snopowiązałki. Wiele zboża marnowało się, bowiem było przegniłe, a sznurki rwały się, trzeba było zbierać i ręcznie wiązać kłosa. W pracy i po pracy koledzy z pracy K. pili na umór – przewidującą zabrali z sobą duże zapasy (zresztą byli pracownikami Monopolu Spirytusowego). W tym czasie studenci z brygady w Masynach nie pili albo pili umiarkowanie i kryli się z tym, natomiast wszyscy miejscowi pędzili i pili bimber. Dopiero w 1954 roku w województwie szczecińskim alkohol stał się problemem także wśród studentów.

B.K. zauważył, że kierownictwo PGR-ów sceptycznie patrzyło na pracę studentów i traktowało ich jak przejściową chorobę – takie samo wrażenie odniosłam, czytając dokumenty archiwalne. A i tak było wiele problemów, choćby całkowity brak inicjatywy i aktywności ze strony stałych pracowników, którzy jak mogli unikali przepracowywania się, podobnie jak samodzielni gospodarze, obciążeni przymusowym odrobkiem na rzecz gospodarstwa państwowego. Ludzie z PGR-ów nie robili niczego z własnej inicjatywy, nie ruszali w pole, kiedy miała nadejść burza, trzeba ich było zwoltywać i poganiać.

W praktyce pracowaliśmy przez 6 dni w tygodniu po 8 godzin dziennie, z przerwą obiadową między 14.00 a 15.00. Kiedy nadchodziła burza albo wypadało coś pilnego, szło się na pole w niedzielę lub dzień pracy bywał przedłużany. Wśród *Nas* było trochę studentów, którzy wychowywali się na wsi i już pracowali na roli, jednakże większość nie miała żadnego doświadczenia, na pewno nie miała go żadna ze studentek. Na początek przydzielano nam prace proste, ale bardzo uciążliwe, jak plewienie pola buraczanego czy zbieranie stonki ziemniaczanej. Pieląc, przebywaliśmy kilka kilometrów między bruzdami, cały czas zgięci, w dodatku dostawaliśmy za to grosze: przez cały dzień można było zarobić 4 złote, a za marne jednodniowe wyżywienie liczono co najmniej 7 zł, które na koniec potrącano z zarobku. W rezultacie nie zarabialiśmy nic, więc kierownictwo PGR musiało dopłacić do wyżywienia, żeby dać nam chociaż 10% zarobku, tak „dla formy”.

Najczęściej podbieraliśmy zboże za snopowiązałką, snopki ustawialiśmy w „kopki”, a potem te kopki ładowaliśmy na wozy drabiniaste. Woźnicami i „układaczami” snopków na wozach byli koledzy, doświadczeni w tej pracy lub miejscowi gospodarze odrabiający szarwark. Tę pracę lubiłam najbardziej, chociaż w miarę ładowania wozu praca stawała się coraz cięższa, snopki trzeba było wysoko podrzucić widłami. Okruchy zboża i traw wpadały za kołnierz, marzyło się o ściągnięciu ubrania i kąpieli. Potem była jazda na wysoko załadowanej furze – odpoczynek z sielskimi widokami, chociaż przez kombinizon dostawały się kolce ostów. W stodole rozmieszczałam zrzucane z fury snopki w sąsieku. W miarę zapełniania się sąsieka, wysiłek i zmęczenie były coraz większe, mimo to taka praca była urozmaicona, przebywało się więcej na powietrzu, nie było takiego pyłu, jak przy kombajnie, a jeśli pole było oddalone, to dłużej trwała jazda na furze. Notowałam, że w Lisach w 1953 roku ja i kolega W. ładowaliśmy, zwoziliśmy z dość odległego pola i układaliśmy w stodole dwie kopiaste fury przed obiadem i dwie po obiedzie. Do tej pracy nie wszystkie koleżanki były zdolne, bo były zbyt niskie lub słabe. Kiedy zboże było „położone”, trzeba było je kosić ręcznie. Umiało to robić dwu lub trzech moich kolegów. Jeden z nich w Czółnowie w 1955 roku podobno skosił ręcznie 16 ha pszenicy (przynajmniej tyle mu policzył kierownik PGR), dzięki czemu wyjechał z kilkudziesięcioma złotymi w kieszeni. W gospodarstwie zbożem było zasiane 50 ha, w tym 25 ha nie można było skosić przy pomocy maszyn.

Czasem staliśmy za kombajnem, który młócił zboże, ale nie był zdalny do oddzielania słomy i plewów. To była chyba najcięższa praca, trzeba było zasłaniać twarz, a mimo to pył wdierał się do oczu. Zdarzały się prace inne, na przykład szufłowanie zboża w spichlerzu, w celu przewietrzenia go i przesuszenia, co było męczące i monotonne, poza tym wdychało się kurz, ale za to stawka za godzinę była stosunkowo wysoka. Szufłowali zwykle mężczyźni; raz udało mi się wyjednać tę pracę i trochę zarobiłam, ale potem nie mogłam spać z powodu bólu pleców. Ku wielkiemu zdziwieniu w 1955 roku w Czółnowie nieźle zarobiłam przy zupełnie lekkiej pracy: uderzałam kijem od wideł w kłapę zapychającego się od czasu do czasu pojemnika kombajnu, przez który przechodziła słoma. Zakwalifikowano to jako „pracę przy maszynie”, a za takie prace była najwyższa stawka. W dodatku można było gawędzić, najczęściej z szoferem kombajnu, który nic nie robił tylko baczył, by silnik pracował.

Nie tylko nasze doświadczenia skłaniają do krytycznej oceny pracy w PGR-ach. Z danych o normach, które obowiązywały, i na podstawie własnych obserwacji mogę pokusić się o stwierdzenie, że praca w PGR-ach nie była bardzo ciężka w porównaniu z tą, którą rolnik indywidualny musiał włożyć we

własne gospodarstwo. Były wprawdzie maszyny, ale źle utrzymane i nie w pełni wykorzystane, na przykład kombajny stały w jednym miejscu i nie żęły ani nie wiązały zboża, jedynie je młóciły. Po polu jeździły kosiarki i snopowiązałki – te się psuły, sznurki rwały się, zapewne z powodu zachwaszczenia i wilgoci. Nawet wozy drabiniaste bywały w złym stanie; mam własne zapiski z Lisów o dwóch „kraksach na furze na zakręcie”, z powodu czego przez kilka dni zwózka odbywała się na „chłopskich furach”. Często koszone ręcznie, bo zboże było „położone” na skutek nieprzewidzianej silnej ulewy (brakowało porządných prognoz pogody) i spóźnienia się z koszeniem. Normy nie były wygórowane. Zanotowałam, że przy tak zwanym szufłowaniu (przesypywaniu ziarna zwiezonego do spichlerza po to, żeby lepiej i szybciej schło) w ciągu dnia trzeba było przesypać 10,5 tony, tymczasem nawet kobieta była w stanie poradzić sobie z czterdziestoma tonami⁹. W kalendarzyku z 1953 roku zapisałam, że przy podbieraniu za kosiarką i wiązaniu snopków wraz z koleżanką B. „wyrobiłyśmy” 168% normy; przynajmniej tyle nam wyliczono.

Spróbujmy przyjrzeć się trochę realiom gospodarki państwowej. Niezależnie od norm, robotnicy PGR-ów pracowali powoli, poganianie do roboty nie dawało wiele – jeśli dyscyplina była za duża, można było przenieść się do innego gospodarstwa, wszędzie potrzebowano ludzi, więc zgłaszającym się do pracy nie zadawano zbyt wielu pytań. Nie znalazłam ani jednego dokumentu, w którym by oznajmiono, że żniwa zakończono w odpowiednim czasie i dobrze przebiegały siewy. W marcu 1950 roku na zebraniu Komitetu Gminnego PZPR w Baniach Mazurskich towarzysz T(...) (będzie jeszcze o nim mowa) wypominał, że zbliża się akcja siewna, tymczasem zebrane w ubiegłym roku zboże nie jest jeszcze wymłócone, dwa traktory, jakie były w gminie – „ursus” i „żądarek” (może chodzi o czechosłowacki traktor „Zetor”?) – od dłuższego czasu stoją nieczynne, a w gromadzie Lisy siewnik stoi sobie w krzakach. W dwu PGR-ach (Polska Dąbrówka i Dąbrówka Mała) żniwa w ogóle nie były ukończone, więc siewy jesienne szły źle, traktory i maszyna do młócki były nieczynne. Kierownik PGR-u tłumaczył się, że pogoda była zła, więc gdyby skoszono zielone zboże, dostałby naganę za sabotaż. W Grunajkach wprawdzie ukończono żniwa i zwieziono zboże do stodół, ale „wypuszczono *meles* z beczi” – może chodzi o melasę, jak nazwano zboże przegniłe albo już przetworzone w zacier do produkcji alkoholu. Komendant ochrony usprawiedliwiał się, że „sam wszystkiego nie upilnuje”.

W końcu sierpnia 1952 roku w PGR-ach powiatu węgorzewskiego prace polowe opóźniały się, co zapisano w protokółach. Wykonanie prac żniw-

⁹ Szydłowska 2001: 3. Kiedyś sama „przeszufłowałam” przez 5 godzin (z przerwami około 10 ton). Uciążliwością był ból kręgosłupa po pracy oraz unoszący się kurz.

nych było „maksymalne”, bo wykonano 80% planu. Przeciętnie zebrano 40% zboża, najmniej zaś – 25%. Nie wykonywano również planu skupu mleka. Ale za to „...pojawia się współpraca wsi z miastem” – zaprotokółowano (otóż „pojawiła się” jako rozporządzenie Komitetu Centralnego, przekazywane do komitetów wojewódzkich, stąd – do komitetów powiatowych i i dalej – do komitetów gminnych)¹⁰. Robotnicy PGR-ów mogli być przesuwani z miejsca na miejsce i od jednej czynności do drugiej, zdarzało się nawet odsyłanie do innego PGR-u. Musiało być to uciążliwe, bo na jednej z „odpraw roboczych” w Zjednoczeniu PGR Orneta ktoś zadał pytanie: „Czy wolno robić takie przerzuty ludzi”? Odpowiedź kierownictwa Zjednoczenia brzmiała: „tak”¹¹. Obsługą maszyn zajmowali się pracownicy stacji maszynowo-traktorowych (MTS).

W sprawozdaniu z PGR Miodowiec (310 ha ziemi, w tym 200 ha ornej) z marca 1953 roku znalazły się charakterystyczne dla poetyki dziesięciolecia 1945–1955: w 1952 roku zasiano tylko 132 ha; „z wielkim wysiłkiem w miarę możliwości” trzeba było prowadzić „prace pielęgnacyjne” – na przykład odchwaszczanie „zawinione przez »Prusaków«” (?). „Akcję żniwną” zaczęto w terminie, lecz „pomimo wysiłków załogi, która była w sile tylko 50%, akcja żniwna została zakończona z dużym opóźnieniem”. W końcu zboże zżęto, „lecz pogoda atmosferyczna nie uległa w dalszym ciągu zmianie i mówiąc słowami robociarskimi trza było kraść [zbierać z trudem?] zboże z tyg. 2 [przez dwa tygodnie?] pod deszczem składając je do stogów. Przyszły nam z pomocą zakłady pracy w sile fizycznej oraz chłopci z okolicznych wsi”, mimo to „nie wykonano zadań. Było opóźnienie, a tu zaczyna się akcja wykopkowa! Ale „załoga w 100% zebrała zboże nie oddychając na chwilę”¹².

Na jednej z odpraw w końcu 1954 roku dyrektor Zjednoczenia zaczął od pouczenia: wszystko należy planować i przestrzegać wykonania planów „bez względu na siewy, żniwa itp.” (chyba miało być „zarówno planów siewów, jak i zboża”). Potem poruszał kolejno następujące tematy: do końca stycznia należy bezwzględnie zakończyć omłoty. Trzeba „dokaptować” ludzi na kurs traktorzystów. Poinformował, że „krowy suchostojące będą brakowane”. W części sporządzonej na maszynie do pisania jest opis budynków poniemieckich, który warto przytoczyć *in exteso*: „Ob. K (...) stwierdza, że jest źle w Lipowinie [prawdopodobnie chodzi o Lipowinę w powiecie braniewskim], gdzie grupa budow-

¹⁰ AP Olsztyn, zespół Komitet Powiatowy PZPR Węgorzewo, zespół 1006, 37, k. 5; zespół 2448, nr 1 - „Komitet Gminny Banie Mazurskie”, k. 65, 258, 264 – 266.

¹¹ AP Olsztyn, zespół Komitet Powiatowy PZPR Węgorzewo, zespół 1006, 37, k. 5; zespół 2448, nr 1 - „Komitet Gminny Banie Mazurskie”, k. 65, 258, 264 – 266.

¹² Prezydium GRN w Sępopolu, 676/12, k. 46 – 47. Poszukiwania na mapach i w spisach PGR-ów – bez rezultatu. Protokoły z 1954 r.: 676/13, k. 5, 31, 44 – 45.

lana na gospodarstwie Golezowo jest nic nie robi bierze pieniądze i demoralizująco wpływa na pozostałych pracowników a szczególnie pionierów (...) Nowo wybudowany barak jest obecnie utrzymywany niżej wszelkiej krytyki że brak klamek do drzewi brak kluczy okna się nie domykają przez rozchodnią ścianę wieje ponieważ się otworzy na wylot (...) Ob. Ku (,,,) stwierdza, że w Długoborze, jest podobna sytuacja. W Wielkich Karpinach brak szyb w Pieniężnie brak szyb że ob. Broniek nie rozlicza prowadzonych budów”¹³. Dyrektor stwierdził, że brakuje mieszkań, w związku z tym trzeba zwrócić uwagę, żeby „nie zachodziły wypadki prywatnych uznań”, co zapewne było ostrzeżeniem przed kumoterstwem. Część pracowników mieszkała w jednym baraku, ze wspólnymi sanitariatami. O atmosferze mówi jedno zdanie: „Chcemy zaufać pracownikom, by portier ich nie kontrolował”, zaraz jednak nakazywano dyscyplinowanie lokatorów baraku. Dyrektor wskazywał na osoby opieszale: „Jeden z pracowników powinien zwrócić uwagę na pracę ob.ob [obywatelki] D(...) Z(...) i M(...)T. i M(...) F (...) Ob. te nie przestrzegają dyscypliny pracy, często wychodzą z biura itd. F(...) M(...) pobiera każdy dzień przepustki do miasta”. W tych latach we wszystkich urzędach i przedsiębiorstwach na wyjście lub wejście trzeba było mieć przepustkę. Obowiązywał zakaz wchodzenia osób obcych na teren Zjednoczenia PGR oraz stawiania tam motocykli i rowerów.

Poza tym protokoły zawierają informacje o rozmaitych zdarzeniach – o zalaniach z powodu silnego deszczu, o bałaganie w niektórych urzędach (na przykład w Urzędzie Stanu Cywilnego), o projektach budżetów, o konieczności walki ze stonką ziemniaczaną. W styczniu 1953 roku władze gminne Sępopola zadecydowały o powołaniu Gminnego Pełnomocnika do Walki ze Stonką, a w każdej gromadzie – Przodowników Gromadzkich do Walki ze Stonką, którym należało wręczać pisemne nominacje¹⁴. W ten sposób można się było wykazać właściwą postawą i aktywnością: pełnomocnicy telefonowali i żmudnie pisali sprawozdania o walce z owadem, który spokojnie żywił się ziemniakami. W styczniu 1954 roku w czasie posiedzenia przewodniczący Rady Gminnej utyskiwał, że kierownicy bibliotek „nie uświadamiają rolników do czytania książek”, szczególnie młodzież nie interesuje się czytelnictwem. Stan hodowli charakteryzuje też oświadczenie lekarza weterynarii w Sępopolu, że nie jest w stanie pracować, ponieważ w przychodni weterynaryjnej brakuje światła, narzędzi, leków, są też trudności z dojazdem tam, dokąd wzywano. Czasem lekarzowi dawano furmankę i konia. Chciano mu dać rower, ale lekarz odmówił jazdy na rowerze ze względu na zmęczenie. Wtedy Prezy-

¹³ AP Olsztyn, zespół 1006, sygn. 37, s. 2.

¹⁴ Prezydium GRN w Sępopolu, 676/12, k. 10, 47 *verso*.

dium podjęło uchwałę, że praca weterynarza „jest niewystarczająca”, dodano jednak, że trzeba zainstalować światło i trzeba pisać wnioski o przysyłanie karetki do przywożenia zwierząt w razie potrzeby¹⁵. W połowie lat pięćdziesiątych XX wieku stan gospodarki pegeerowskiej nie był lepszy niż w pierwszych dwu latach jej funkcjonowania, co dość szczerze przedstawiano na tak zwanych odprawach kierowników poszczególnych działów Zjednoczenia PGR. Czytanie protokołów z tych zebrań może wzbudzić rozbawienie i zdziwienie, bo to, o czym i jak w nich pisano, wydaje się osobliwe, nierzeczywiste.

W zbiorach OBN znajduje się opracowanie Lily Marii Szwengrub [1965], sporządzone na podstawie badań przeprowadzonych między 20 czerwca a 15 lipca 1965 roku w sześciu PGR-ach w powiatach pasłęckim i ostródzkim. Na wstępie mamy dość znamienne uwagę: układ stosunków w PGR-ach przypomina majątki prywatne, bo dawniej był właściciel, teraz jest kierownik, obaj zatrudniają chłopów najemnych. Autorka oceniła to jako sprzeczne z ideologicznymi zasadami i założeniami organizacyjnymi, podejmowanymi przy tworzeniu PGR-ów. W badanych przez Szwengrub gospodarstwach było 218 stałych pracowników, w tym 50 kobiet oraz 16 zatrudnianych tymczasowo, na zasadzie zleceń. Obliczono, że na 100 ha użytków rolnych przypadało 11 pracowników – teraz nie jest możliwe stwierdzenie, czy było to dużo, czy mało; jeśli brać pod uwagę tylko uprawę zbożową, zatrudnienie można uważać za duże. Średnia wieku tych osób wynosiła 37 lat, przeciętny zaś okres dotychczasowej pracy (nie wiemy, czy tylko w rolnictwie) liczył 6 lat i 8 miesięcy. Do pracowników umysłowych zakwalifikowano 30 osób, ale trzeba pamiętać, że granica między „fizycznym” i „umysłowym” była dyskusyjna, na przykład jeden sprzedawca w sklepie mógł trafić do pierwszej, inny – do drugiej kategorii. Wśród 30 „umysłowych” (czyli nie pracujących bezpośrednio w polu) 13 miało niepełne wykształcenie średnie, pozostali – średnie ogólne lub rolnicze. Czterech księgowych i dwóch magazynierów skończyły kursy zawodowe. Wśród 204 pracowników fizycznych 92 miało za sobą szkołę podstawową, pozostali nawet jej nie skończyli. W badanych gospodarstwach spisywane były wspomnienia o okresie sprzed około 20 lat, czyli mniej więcej z 1945 roku. Objawia się w nich koloryzowanie przeszłości, które ma uzasadnić wybór – osiedlenie się na Mazurach. Część wspominających pozytywnie oceniała atmosferę społeczną: byli sąsiedzi, „były klimaty” itp. W rzeczywistości życie było ciężkie i niebezpieczne – wszyscy wspominają szabrownictwo, dodając czasem, że szabrownicy, którzy zostali na miejscu, „przeistoczyli się w szanowanych gospodarzy, nikt im nie wypo-

¹⁵ Prezydium GRN w Sępólnie, 676/12, k. 10, 47 *verso*.

minał kradzieży”. Szwegrub zauważyła, że wypowiedzi świadczą o rozchwianiu wartości.

W 1989 roku, kiedy zmieniał się ustrój, PGR-y opisane przez Ewę Siedlecką ciągle istniały. W ich sąsiedztwie znajdowały się 34 indywidualne gospodarstwa o łącznym areale blisko 300 ha. W PRL gospodarstwo wielkości około 10 ha było obciążane tak zwanym domiarem (dodatkowymi podatkami, „uznaniowymi” – nakładanymi przez urzędników skarbowych). Trzeba też wziąć pod uwagę, że na wymienionej powierzchni mieści się ziemia pod zabudowania, nieużytki, las itp. Ziemi ornej na jedno gospodarstwo przypadało zapewne nie więcej niż 5–6 ha. Prawie w ogóle nie było przedwojennych domostw, teraz rzędem stały 33 domy, budowane chyba przez PGR, zamieszkane przez około 300 osób. Kiedy ponad 20 lat później, około 2010 roku, odwiedziłam te strony, nic już nie przypominało dawnych PGR-ów. Liczba ludności zmalała. Za to domy wyglądały na zadbane, wszędzie były anteny telewizyjne, można było dostrzec samochody osobowe, a na polach – trochę ciągników i maszyn rolniczych. W gminie Sępólno przypadkowi rozmówcy opowiadali, że znaczna część dochodów pochodzi z pracy na emigracji lub z mniej lub bardziej legalnego handlu z ludnością z obwodu kaliningradzkiego, bo do granicy były 2 kilometry. Pod koniec XX wieku, kiedy minął pierwszy szok spowodowany reformami, zwłaszcza po 2004 roku, pojawiło się nowe zainteresowanie ziemią.

Warunki życia

Nasza sytuacja w PGR-ach nie była zła, jeśli wziąć pod uwagę warunki życia na wsi w latach 1945–1955. Przede wszystkim pamiętajmy, że gospodarze rolni, choćby mieli pół hektara ziemi, zakwalifikowanej jako ziemia orna, byli obciążeni obowiązkowymi dostawami i tak zwanym domiarem, czyli dodatkowym uznaniowym opodatkowaniem, nakładanym na gospodarstwa uznane za zbyt duże („kułackie”). Dekret PKWN z 1944 roku wprowadzał dostawy obowiązkowe jako rzeczowe świadczenia wojenne w celu doraźnej poprawy zaopatrzenia, zwłaszcza wojska. Obejmowały one cztery zboża, ziemniaki, rośliny strączkowe i oleiste, siano, słomę oraz zwierzęta rzeźne¹⁶. Kiedy zbliżało się referendum „trzy razy tak” (wyznaczone na 30 czerwca 1946 roku), władze ogłosiły, że dostawy są uchylone – jak się okazało, nie na długo. W 1947 roku na plenum PPR Hilary Minc ogłosił rozpoczęcie „bitwy o handel”¹⁷, co polegało na niszczeniu tej prywatnej własności,

¹⁶ Dz.U. 1944, nr 3, poz. 9 i 10.

¹⁷ Zob. Bitwa o handel, Wikipedia [dostęp 11.2023].

której dekrety z 6 września 1944 i z 3 stycznia 1946 roku nie wyeliminowały całkowicie z gospodarki. Przystąpiono również do realizacji planu kolektywizacji wsi.

Ta polityka spowodowała katastrofę w zaopatrzenia rynku w artykuły żywnościowe, więc chłopom nakazano uiszczanie podatku gruntowego w naturze – trzeba było odstawiać do punktów skupu znaczną część tego, co zdołano zebrać, wydoić, wyhodować. Od 1951 roku wprowadzono obowiązkowe dostawy do państwowych punktów skupu ziemniaków, zboża, zwierząt rzeźnych oraz mleka. Szacowano, że w 1953 roku zabierano rolnikom 85% płoń z bóż, połowę zbiorów ziemniaków i połowę żywca. Obciążenia były progresywne, na przykład właściciel gospodarstwa o powierzchni do 4 ha oddawał 30 kg zboża z jednego hektara, jeśli miał 10 ha – musiał oddać 160 kg z hektara. Za niewykonanie obowiązku groziła grzywna lub pozbawienie wolności¹⁸. Po 1956 roku sytuacja na wsi nieco się poprawiła, chłopcy mogli sprzedawać trochę produktów na wolnym rynku. Wstrzymano kolektywizację, zniesiono obowiązkowy skup mleka, o 30% zmniejszono normy dostaw zboża i podniesiono ceny skupu, jednak podstawowe zobowiązania nie uległy zmianie. Utworzony w 1959 roku Fundusz Rozwoju Rolnictwa¹⁹, którego środki miały wynosić tyle, ile wynosiła różnica między cenami rynkowymi a cenami państwowymi, wspierał tylko uspołecznione formy gospodarowania²⁰. Dopiero w 1971 roku dostawy obowiązkowe zostały zniesione.

Skup produktów rolnych, zwłaszcza zboża i mleka, był największą troską mazurskich władz lokalnych i pegeerowskich, bo PGR-y były organizatorami punktów skupu. Skup trzody chlewnej prowadziła Centrala Mięsna. Rolnikom grozono, że za niewywiązanie się z obowiązku dostawy z bóż gospodarz musi wnieść 75% zaliczki na podatek zbożowy (skup prowadzono zaraz po zbiorach lub po uboju, mleka – systematycznie przez cały rok, podatek płacono po 30 stycznia). We wszystkich protokołach zebrań skup był zawsze najważniejszym, stałym punktem porządku: sprawiał najwięcej kłopotów. Zwierzchnicy mogli przeoczyć rozmaite nieprawidłowości, ale braków w dostawach nie dało się ukryć. Informacja o niewykonaniu planu dostaw z powodu „wyjątkowo złej pogody” albo w następstwie „kapitalistycznego spisku” i „wrogiej roboty” znajduje się w każdym protokole. Stałe są też utyskiwania na gospodarzy, którzy nie oddają zboża, tylko chowają je po strychach i sami mielą na mąkę, a potem na targu ją sprzedają, „na co musi-

¹⁸ „Dostawy obowiązkowe”, *Interia.pl*. Podaje się, że w 1952 roku w Polsce zostało ukaranych 84 tysięcy gospodarzy, rok później – 250 tysięcy.

¹⁹ Uchwała Rady Ministrów z dnia 24 listopada 1959 r. w sprawie Funduszu Rozwoju Rolnictwa.

²⁰ Fundusz Rozwoju Rolnictwa był utworzony Uchwałą Rady Ministrów, *Monitor Polski*, 1959, nr 96, poz. 510.

my zwrócić baczną uwagę [sic!]”. Przedstawiciel gromady Szurminy wypowiedział się w sierpniu 1953 roku, że „oprócz altohtonów [sic!] gromada zda swoje obowiązki”. Szef powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa zganił zebranych, że nie wskazali, „kto nie zda plan”, czyli nie donieśli, kogo podejrzewają o sabotowanie poleceń władzy²¹.

Narzekano też na brak pełnowartościowej „siły roboczej”, bo wśród ludności PGR-ów i gospodarstw indywidualnych było sporo wdów i inwalidów. Kierownictwo Gminnej Spółdzielni „Samopoc Chłopska” narzekało, że akcja skupu zboża jest niezadowolająca, ponieważ „bogacze wiejscy przeciwstawili się podpisywaniu zobowiązań na dostawę nadwyżek zbożowych, jak to miało miejsce w roku ubiegłym i się tłumacząc różnie puszczają wrogie propagandy by zastraszyć mało i średnio rolnych chłopów”, ci jednak „nie ulegli wpływowi i zakusom”, więc roczny plan skupu wykonano w 100,5%! Jest to oczywiście przekłamanie – w tym samym miejscu narzekano na „wrogą akcję uniemożliwiającą wypełnienie „zobowiązań zbożowych”. Żywca zakontraktowano 1670 sztuk, dostarczono – 1430, nie wykonano planu dostawy jaj i drobiu. Władze powiatowe obarczały odpowiedzialnością „czynniki gminne”, które „nie doceniły akcji skupu zboża” i nie były dostatecznie aktywne, poleciły przeto wójtom wysyłanie „w teren” wszystkich „aktywistów”, żeby o dostawach przypominały i dopilnowały realizacji obowiązków. Ponosili je także pracownicy PGR-u, jeśli mieli kawałek ziemi. Aktywiści mieli też pomóc w zorganizowaniu – „w myśl uchwały Rządu” – w organizowaniu pomocy sąsiedzkiej, pilnować i agitować. Pracować mieli gospodarze. Władze gminne ogłaszały, kto komu aktywista ma pomagać, a korzystanie z takiej pomocy traktowano jako obowiązek²².

W protokołach posiedzeń GRN ze stycznia 1952 roku znajdujemy decyzje o umorzeniu skupu zboża, przeważnie dotyczące tych samych osiemnastu osób. Nie są one w stanie sprostać dostawom obowiązkowym z powodu nieurodzaju, „braku sił” – było to między innymi kilka wdów i osoby kalekie. Jednej z kobiet kazano oddać 1165 kg zboża, ale nie miała w ogóle gospodarstwa. Podania rozpatrywano na zebraniach co miesiąc (protokoły z lat 1952–1955); tylko w sierpniu 1952 roku napłynęło ich 55, we wrześniu – 103., w październiku – 130. Podania są między innymi od kobiet, które mają oddać mleko, ale... nie mają krowy. Odmownie załatwiano kilku lub kilkunastu petentów; w październiku 1952 roku z powodu niewywiązania się z dostaw

²¹ AP Olsztyn, zespół Komitet Powiatowy PZP Węgorzewo, 2448, nr 1, k. 137, 424, 426.

²² AP Olsztyn, zespół Komitet Powiatowy PZPR Węgorzewo, 2448, nr 1 - „Komitet Gminny Banie Mazurskie”, k. 35, 56, 66, 137.

skierowano do likwidacji 43 gospodarstwa. W 1953 roku liczba podań sięgała 170 miesięcznie²³.

W latach 1946-1949 w Sępopolu działała Gminna Komisja Kontroli Społecznej. Komisje kontroli społecznej istniały już przed wojną (najważniejsza ustawa jest z 1923 roku, zmieniono ją dopiero w latach dziewięćdziesiątych XX wieku), po wojnie zaś zostały powołane w grudniu 1944 roku. Z protokółów posiedzeń Komisji w Sępopolu sporo dowiadujemy się o ówczesnym życiu – można przypuszczać, że nie tylko w tej jednej gminie. W protokołach powtarzają się opisy brudu i niegospodarności w stołówkach, w bursach i w szkołach. Szkoła powszechna w Sępopolu miała kuchnię, ale panował „straszliwy bród [*sic!*], prowiant wydawany był „na oko” – bez ważenia. Gospodarstwa należące nie tylko robotników PGR-u, ale i do gospodarzy, były kontrolowane przez sołtysa, komendanta Milicji Obywatelskiej oraz dwie inne osoby.

Dowiadujemy się między innymi, że gospodarz R(...) w 1951 roku miał 8 ha ziemi, jednego konia, jedną krowę i jednego tryka. Wszystkie te zwierzęta były wychudzone i zaniedbane. Gospodarz miał nieślubną towarzyszkę, która nazywała się Herta S[...] i też „coś miała” – konia, jałówkę, dwie owce, „ale nic nie zgłaszała” – pisał sprawozdawca. Nie ma informacji o obciążeniach, jakie nałożono na tę parę, która w 1953 roku znów pojawiła się w sprawozdaniu pokontrolnym. R(...) miał to samo, co uprzednio, poza tym 20 kwintali słomy. Koń był „nędzny”, osłabiony z braku pokarmu, kury łąziły wszędzie i niszczyły zboże. Herta S(...) była często wymieniana w różnych dokumentach, bo nie mając ślubu z R(...), była traktowana jako osobny gospodarz i podatnik. Stale składała podania o zwolnienie jej z dostaw mleka z powodu braku krowy – jedną krowę, jaka była w gospodarstwie, urzędnicy dostrzegali podwójnie: zapisywali ją jako własność gospodarza i jako drugą, własność jego konkubiny. W 1953 roku Herta była brzemienna, więc – jak twierdziła – jest „nie do dostaw”. Miała swego konia, ale „też słabego”²⁴.

W protokołach GRN znalazło się sprawozdanie Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” za 1950/1951 rok (od września 1950 do sierpnia 1951 roku). Warto je streścić, ponieważ obrazuje ono możliwości zdobywania niezbędnych towarów, co niekiedy dotyczyło także *Nas* – stale głodnych. W sprawozdaniu zapewniano, że „spółdzielcy nie odczuwają braków”, a jednocześnie pisze się, że brakuje wielu produktów żywnościowych lub potrzebnych w gospodarce, niektóre zaś były złej jakości. W dodatku prowadzący

²³ Prezydium GRN w Sępopolu, 676/11, k. 3 – 4, 8, 106 – 108, 109 – 113, 121 – 122. Podobna była treść protokółów w 1953 roku: Prezydium GRN w Sępopolu, 676/12.

²⁴ Prezydium GRN w Sępopolu, 676/14, k. 6.

sklepy byli nieustannie pijani²⁵. Nie tylko oni – technik budowlany J(...) K(...) „pomimo że pije wspólnie [*sic!*] z pracownikami, ale jeszcze kupuje wódkę i dostarcza im na budowę (...) przybył na odprawę w stanie nietrzeźwym, udając dużego bochatera [*sic!*]”²⁶.

We wszystkich wspomnieniach studentów z brygad żniwnych na pierwszym miejscu jest mowa o pijaństwie – codziennym i powszechnym. W soboty wieczorem ludzie pili na umór. Już w dwunastym roku życia chłopcy stawali się pijakami. Wódka była główną zachętą do pracy i stałym posiłkiem. Wszyscy kierownicy poszczególnych gospodarstw, których poznałam, pili i przekupywali wódką pracowników. „Czysta monopolowa” z niebieską lub czerwoną kartką, nazywana przez warszawiaków „Łzami Proletariatu”, była tania, poza tym na wsiach na Mazurach i Suwalszczyźnie w powszechnym użyciu był bimber, w zależności od regionu zwany barbulcem, krzakówką lub księżycówką²⁷.

PGR-y i polityka – towarzysze i towarzyszki realizują linię partii w terenie

Jest niejako oczywiste, że organizacja brygad żniwnych miała cel przede wszystkim polityczny i nie wydaje się, żeby ktokolwiek z decydentów łudził się co do rzeczowych korzyści z pracy studentów. Odnosi się przecież wrażenie, że wdrażanie nowej ideologii było priorytetem także Państwowych Gospodarstwach Rolnych, zresztą wszędzie na ziemiach przyłączonych po wojnie do Polski. W każdym województwie (choć nazwa „województwo” nie zawsze jeszcze była stosowana) od władz będących agendami rządowymi ważniejsze były komitety PZPR. W Olsztynie w kwietniu 1945 roku utworzono Komitet Wojewódzki PPR dla Okręgu Mazurskiego. W tym samym roku do Okręgu skierowano pod przymusem 4100 członków PPR z trzech województw: białostockiego, lubelskiego i warszawskiego. Dlaczego akurat stamtąd? Wydaje się, że w tych województwach było najwięcej członków partii. Na Mazurach w 1946 roku komitety partyjne były w kilkunastu miejscowościach²⁸.

²⁵ AP Olsztyn, zespół KP PZPR Węgorzewo, 2448/1, k. 5 – 6

²⁶ AP Olsztyn, zespół 1006, sygn. 37, protokół z narady roboczej z 10 października 1954 r.

²⁷ Nazwy nie są przypadkowe: bimber wyrabiany po kryjomu – „w krzakach” i po nocy (przy księżycu). Nie wiem, czy „barbulce” ma związek z kwiatami barbulami.

²⁸ Komitety były w Barczewie, Bartoszycach, Biskupcu, Braniewie, Giżycku, Górowie Iławieckim, Kętrzynie, Lidzbarku Warmińskim, Morągu, Mrągowie, Nidzicy, Ostródzie, Pasłęku, Olsztynie, Suszu Iławieckim, Szczytnie i Węgorzewie, Marlena Koter, *Wstęp do inwewntarza. Zespoły komitetu powiatowego PZPR*, Archiwum Państwowe, Olsztyn. Wiele informacji o systemie administracyjnym Warmii i Mazur zawiera kompendium Achremczyk 1997.

W gminie Banie Mazurskie, której liczba ludności nie jest znana (w 1939 roku było mniej niż 2 tys. mieszkańców, po wojnie – kilkuset), Podstawowa Organizacja Partyjna (POP) w marcu 1950 roku liczyła 65 członków (w tym 5 kobiet) i 7 kandydatów (samych mężczyzn). Na zebraniach głos zabierało kilka lub kilkanaście osób, obecnych bywało około 20 członków partii, ale informacje są wyrywkowe, bo nie ma list obecności. Jak zapisano w jednym z protokołów (z 4 sierpnia 1951 roku), „Komitet [PZPR] przez okres swej działalności [rocznej] mniał [sic!] szereg nie dociągnąć [sic!] i nie stał na poziomie swojego zadania”, praca młodzieżowej organizacji ZMP zaś „jest dobra, ale faktycznie tak nie jest”.

W 1951 roku kandydatami na członków PZPR w gminie Banie Mazurskie zostało ośmiu mężczyzn, o których jest parę informacji, w tym parę bardziej rozwiniętych²⁹. Informacje o kilku z nich wnoszą coś do poznawania ówczesnych mazurskich społeczności. 22-letni kierowca R. w 1947 roku, przyjechał ze wsi na Lubelszczyźnie (rodzice mieli tam 3 ha ziemi). Edukację skończył w 1938 roku na szkole podstawowej. K. urodzony w 1911 roku, pracował „u kułaków”, był w Milicji Obywatelskiej i od 1946 roku w PPR. Nie wiadomo, dlaczego nie znalazł się w PZPR i kandydował po trzech latach od jej utworzenia. 26-letni P. był wywieziony do Niemiec, jak urodzony w 1904 roku R., ale trudno powiedzieć, czy rzeczywiście chodzi o „wywózkę”. Urodzony w 1913 roku J. skończył 5 klas szkoły podstawowej, był w wojsku (nie podano, w jakiej armii), w 1945 roku wrócił do Polski. Inny J., urodzony w 1919 roku, wędrował sporo, bo pochodził z województwa nowogródzkiego, był wywieziony na roboty przymusowe w Sudety, w 1945 roku znalazł się w Opolu i do 1948 roku pracował tam w straży pożarnej, po czym przeniósł się na Mazury. O niejakim L. napisano tylko, że jest „członkiem bezpieczeństwa”, więc składanie przez niego życiorysu jest „niepożądane”.

Przewodniczącym Podstawowej Organizacji Partyjnej (POP) w gminie Banie Mazurskie był wybrany już wspomniany wyżej A.T. Jako kandydat musiał podać swój życiorys: urodził się w 1902 roku, w 1930 roku przyjechał do Lubartowa (nie wiadomo, skąd), od 1946–1957 roku pracował w Urzędzie Bezpieczeństwa. W dokumentach jest późniejsza notatka, z której wynika, że w UB był do 1957 roku. W listopadzie 1951 roku nowy przewodniczący wygłosił przemówienie na zebraniu, w którym uczestniczyło 20 osób. Na początku przypominał o ciężkiej doli chłopca w Polsce sanacyjnej. Natomiast teraz – powiedział – są chłopcy, którzy dają zły przykład. Są nawet chłopcy

²⁹ AP Olsztyn, zespół Komitet Powiatowy PZP Węgorzewo, 2448, nr 1, k. 63. Opuszczam podane nazwiska i imiona (te nie zawsze); pozostawiam inicjały nazwisk.

partyjni, którzy „nie wywiązują się”, więc trzeba ich z partii usuwać. Wtedy samokrytykę wygłosił towarzysz M., który wstydził się za swe zaległości z dostawami.

W styczniu 1952 roku w gminie Banie Mazurskie było 63 członków partii, w tym 5 kobiet oraz 62 kandydatów, w tym 9 kobiet. Rok później było 57 członków partii i 18 kandydatów. „Poza produkcją” było zatrudnionych 20 członków partii i 7 kandydatów, trudno powiedzieć, w jakim charakterze; w dokumentach wymienia się następujące kategorie społeczno-zawodowe: pracownicy produkcyjni, „aparatus polityczny”, „inteligencja”, „młodzież” – do niej zaliczono 10 członków partii, była też kategoria „urzędnicy” (6 członków PZPR). Wśród kandydatów było 2 robotników rolnych, 16 „chłopów” (zapewne gospodarzy niebędących stałymi pracownikami PGR-ów), dwie członkinie i trzy kandydatki zostały zakwalifikowane jako „gospodynie domowe”. Widać więc, że proletariat w partii z nazwy robotniczej był niewiele znaczącą mniejszością, nawet rolników indywidualnych było więcej niż robotników rolnych. W protokole podano, że wśród członków partii jest pięciu „agitatorów”. W szkoleniach partyjnych podobno uczestniczyły 33 osoby³⁰.

Organizowane były zebrania, nazywane naradami roboczymi, członków i kandydatów PZPR, członków Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego oraz Związku Młodzieży Polskiej. Jak się wydaje, ludzie nie byli całkowicie sterroryzowani, ponieważ na zebrania przychodziło mało osób. Na przykład na jednym z zebrań podpisało listę 7 zetempowców, 14 członków ZSL i tylko 9 członków PZPR (na 125 członków i kandydatów w gminie). Działacze partyjni starali się, jak mogli, by ich wypowiedzi były „zgodne z linią partii”. W protokole z września 1951 roku ktoś oznajmił, że wydajność z hektara wzrosła o 50% (w jakim okresie i gdzie – nie wiadomo), „a tymczasem kapitaliści anglo-amerykańscy dążą do rozpętania nowej wojny!”. Na to inny dyskutant zareagował pocieszeniem, że „ten kapitalizm anglo-amerykański jest już bliski zagłady”, gorzej, że w gminie „leży na martwym punkcie TPPR” (Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej). Poza tym szkodę partii przynosi to, że agitatorzy jeżdżą uświadamiać ludność nietrzeźwi³¹. Można by dodać, że trudno im się dziwić.

Streszczam sprawozdanie pierwszego sekretarza PZPR Komitetu Gminnego Banie Mazurskie, wygłoszone 21 czerwca 1953 roku. Sprawozdanie liczy 25 stron maszynopisu, ale z zastosowaniem podwójnej interlinii, więc ma zapewne nie więcej niż 15 stron standardowych. I to niemało, tyle że na

³⁰ AP Olsztyn, zespół Komitet Powiatowy PZPR Węgorzewo, 2448, nr 1, k. 289, 464.

³¹ AP Olsztyn, Komitet Powiatowy PZPR Węgorzewo, 2448, nr 1, k. 171, 289, 339–343, 464.

10 stronicach mowa jest wyłącznie o sukcesach ZSRR, o zasługach Wielkiego Stalina, o złej Ameryce, o wrogu klasowym itd. Kolejne 4 strony są zapisane takimi samymi ogólnikami o gminie Banie Mazurskie, w której trzeba mieć baczenie na wrogą robotę, zwłaszcza – podkreślano – autochtonów, czyli Mazurów, którzy jeszcze nie opuścili Polski. Jest tam mowa także o znaczeniu ZMP i partii (2 strony) oraz o potrzebie pracy propagandowej i organizowania rozmaitych stowarzyszeń (5 stron).

Na pozostałych 4 stronach podano następujące informacje: gmina ma 17 gromad. Jest „autochton, Polak miejscowego pochodzenia”, który „wykonał plan w 150% i sprzedał 2 tuczniki ponad plan kontraktowy”, jest też kobita, która wykonała 100% i oddała 3 tuczniki ponad plan. Inni „nie realizują linii rządu” i zalegają z dostawami i podatkami (podane są sumy zaległości), jak dwie osoby z Lisów. „Plan gminny za 1952 rok ostatecznie niemal całkowicie wykonano: w zbożu w 99%, w mleku w 89%, w żywcu w 90%, w ziemniakach w 92%” to było mało z powodu bierności i tolerancji ze strony władz terenowych, które „nie wykorzystują danych przez dekret o skupie represji dla całkowitego złamania oporu kułactwa i ich [kułactwa?] załuszników [*sic!*]”. Następnie sekretarz z imienia i nazwiska wymienił sporą grupę osób, które źle pracują. „A co Bierut mówił?” – zapytywał retorycznie. Wymienił też „złych” członków partii i ZMP³².

Po śmierci Stalina pojawił się nowy wątek zebrań: spisek Berii w ZSRR. Obecni, łącznie z prowadzącym zebrania, najprawdopodobniej nie mieli pojęcia, o kogo i o co chodziło (nawet nazwisko było rozmaicie pisane – Biera, Biria itp.). Przewodniczący powiedział (w lipcu 1953 roku): „który [Beria] wykazał, że jest on [Beria] wrogiem, zaczął się spotykać z Titem Jogoślavi [*sic!*]”. Także na zebraniu członków Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w kwietniu 1953 roku była mowa o VIII Plenum PZPR, o śmierci Józefa Stalina, oczywiście ciągle jeszcze czczonego. Wspominano, jaka zła była Rosja carska, a jaki przyjazny Polsce był Stalin. O XX Zjeździe KPZR w lutym 1953 roku nie było ani słowa³³.

Z tych samych protokółów dowiadujemy się, że w środowisku pegeerowskim próbowały swych sił działaczki Ligi Kobiet, jak się wydaje – nieskutecznie, podobnie nieskuteczne były próby organizowania Koła Gospodyń Wiejskich. W jednym z protokółów napisano bez ogródek: „Koło Gospodyń Wiejskich leży” Na zebrania przyjeżdżały aktywistki, „towarzyszki” z władz wojewódzkich PZPR, które wygłaszały referaty polityczne, starannie zapisy-

³² AP Olsztyn, Komitet Powiatowy PZPR Węgorzewo, 2448, nr 1, k. 171, 289, 339–343, 464.

³³ AP Olsztyn, zespół Komitet Powiatowy PZPR Węgorzewo, 2448, nr 1 – „Komitet Gminny Banie Mazurskie”, k.72.

wane w protokółach lub załączane do nich. W lipcu 1951 roku towarzyszka K. przedstawicielka Komitetu Wojewódzkiego, nawoływała do wybierania na stanowiska kierownicze ludzi „oddanych partii i klasie robotniczej”. PPR – mówiła – powstawała w trudnościach, ale prowadził nas przykład Chin, Tybetu i NRD, które „wydostały się spod jarzma kapitalistycznego. Dzięki temu w krajach demokracji nie ma kryzysu, mimo źle zarządzanych spółdzielni... W nich bowiem czasem zasiadają wrogowie, to jednak czujność tow. partyjnych stopniowo ich wykryje. Rząd nasz prowadzi politykę pokojową”. Potem mamy ostrzeżenie: jak tylko towarzysze wykryją wrogów, to już im nie przepuszczą. Prelegentka dziwiła się, że w gminach mazurskich nie ma Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, bo „przecież tylko przy pomocy Związku Radzieckiego odzyskaliśmy niepodległość”³⁴. Zebrania służyły do wykazywania się czujnością. Przedstawiane były wnioski o ukaranie pracowników, jednakże w protokółach nie ma nic o głosowaniu nad nimi ani o rezultatach głosowaniu. Czytamy na przykład, że „gospodarze siali wrogą propagandę”, a kierownik sklepu Samopomocy Chłopskiej w Baniach Mazurskich (lipiec 1951 roku), w której „brak cukru dla klejentów [*sic!*], woli wypić wódki jak zaprenumerować gazetę (...) Dyrekcja Zespołu i K. 2 [?] nie pomagają Kier[ownikowi] Gosp[odarstwa] z awansu społecznego [*sic!*], zawdzięczając Związkowi Radzieckiemu i swoim własnym siłom, to odbudowa odbywa się w szybkim tempie. Brak organizacji pracy, ale to możliwe że we wyższych instytucjach siedzi wróg klasowy”. „Trzeba skończyć z łażkowaniem” i „oporem wobec akcji siewnej”, za które odpowiedzialne jest kierownictwo ZMP i SP.

Członkom partii nie było łatwo – to na nich spadały połajanki i kary partyjne, których konsekwencje bywały nieprzewidywalne. W latach 1950–1951 mamy parę przykładów „prosto z życia” z jednej tylko gminy. Stosunkowo najłaskawiej Komitet PZPR obszedł się z sześcioma „towarzyszami”, którzy „źle się zachowali”, a mianowicie nocowali u jakiejś kobiety i „nie zapłacili”. Z kolei jedna z członkiń Gminnego Komitetu PZPR K., „do każdej pracy jest niechętna”, powinna być wyrzucona z partii, zwłaszcza że jej ojciec i brat siedzą w więzieniu za posiadanie broni, a mąż – za nadużycia w PGR-ze. Gospodarze sieją wrogą propagandę – co na to towarzysze? W Grunajkach trzeba wyrzucić z PZPR towarzysza A., bo jest synem kupca warszawskiego, a nadto ubliżył ORMÓ, na chrzciny nie zaprosił roboczarzy, z PGR-u zaprosił tylko księży i „inną śmietankę szlachecką”. Ta ostatnia kategoria jest najbardziej zdumiewająca. To jeszcze nie wszystko: A. gościł dwóch wojskowych w randze kapitana, którzy pobili stróża, członka partii i ORMÓ, w dodatku A. prawdo-

³⁴ AP Olsztyn, zespół KP PZPR Węgorzewo, 2448/1, k. 5–6.

podobnie wymieniał dolary w Bydgoszczy (dość daleko od Bań Mazurskich), bo dostaje paczki z Ameryki. Dzięki temu handluje otrzymanymi darami w Baniach. A. oczywiście wyrzucono z PZPR, ale nie wiemy, co z nim się potem działo. Trudno zgadnąć, jakie bywały powody usunięcia z PZPR: P. „siał wrogą propagandę co do Związku Radzieckiego i spółdzielni produkcyjnych (...) oraz fałszywie informował o przebiegu walk na Korei, popierając imperialistów w swych wymowach”, ktoś inny – karmi inwentarz niemłóconym zbożem i tłumaczy się, że jest ono zarośnięte i wylega, karbowy D. codziennie grywa w karty i upija się, a wszystko to na skutek złej pracy kierownika PGR. Zamiast grywać w karty, należy czytać gazety”³⁵.

Z prokółow z 1950 roku wynika, że wróg czyhał. Towarzysz K. „omuwił o czujności [*sic!*] podczas akcji żniwno-omłotowej”, inny towarzysz oświadczył, że „pracownicy tutejszej gminy śmieją się podczas pracy zamiast pracować, przez co podrywają autorytet gminy”. Zwracano uwagę, że znowu trzeba „podnieść na nogi sprawę młodzieży”. Zalecono też zdjęcie ze stanowiska kierownika Ośrodka Maszynowego (OMT), „bo zamiast młócić u mało i średniorolnych chłopów młóci u bogaczy”. A co do „bogaczy”, to „doświadczenie mówi, że bogacze nie oddadzą więcej, jeśli mówią, że dadzą ponad plan, to lipa”. We wrześniu 1951 roku sekretarz powiatowy stwierdził, że poprawił się byt, bo ludzie w pogoni za towarami „łamią drzwi w sklepach”³⁶.

Pomijając dziwne meandry myśli, kryje się za tymi wystąpieniami dramatyczna sytuacja gospodarcza. W Polsce był drukowany pusty pieniądz. W październiku 1950 roku przeprowadzano jego wymianę, która odebrała obywatelom 2/3 oszczędności ((jeśli przekraczały 100 tys. starych złotych, czyli 1 tys. nowych), przechowywanych w gotówce. Wtedy nie lokowano w banku, bo Powszechna Kasa Oszczędności powstała po wojnie w 1948 roku i nie była popularna. To całkowicie podkopało zaufanie do złotówki i sprawiło, że starano się ją jak najszybciej wydać, więc braki na rynku były coraz dotkliwsze, zwłaszcza w zakresie artykułów pierwszej potrzeby.

Spółdzielnia „Samopoc Chłopska” wyraźnie przodowała ideologicznie; w sprawozdaniu za trzeci kwartał 1953 roku możemy przeczytać, że zaostrażają się i „walka klas (...) i „knowania imperialistów anglo-amerykańskich (...). Na szczęście w Konstytucji uchwaliliśmy braterstwo z ZSRR, dzięki czemu stajemy się krajem rolniczo-przemysłowym, ci zaś, którzy żyli w nędzy, mają teraz lepiej, a na wsi zwalcza się wyzysk”. A nawet – czytamy – dawniej ludzi leczyli „fałszywi znachorzy” [?], teraz – „lekarze wywodzący się z robotnika i chłopą”, z PZPR na czele. Takich bzdur w sprawozdaniu mamy trzy stroni-

³⁵ AP Olsztyn, zespół KP PZPR Węgorzewo, 2448/1, k. 5–6, 76–90, 131, 135, 146.

³⁶ Tamże, k. 35, 52, 73–76, 310.

ce, co prawda pisanych w miarę poprawną polszczyzną. Pewien poziom edukacji ułatwiał znajdowanie wygodnej lub intratnej pracy. Konkretną wiadomością była wzmianka o trzech kobietach, które z powodu manka mają stanąć przed prokuraturą. Dodano też, że w kampanii dostaw obowiązkowych „zdarzały się wypadki, że wróg klasowy usiłował zniszczyć nasze magazyny zbożowe”, ale magazynier to uniemożliwił. Szczegółów brak³⁷.

Wówczas nie było jakiegokolwiek organizacji lub urzędu, której pracownicy nie czuliby się zobowiązani do deklaracji światopoglądowych, dlatego w sprawozdaniach „Samopomocy Chłopskiej” sporo miejsca zajęły sprawy religijne. W aktach znajdujących się w archiwum olsztyńskim jest sporo doniesień o oddziaływaniu kleru na ludność. Religię „wśród ludu” tolerowano – choć nie pochwalano, natomiast „inteligenci” powinni być ateistami. Informowano, że w gminie Sępopol są trzy kościoły, jeden rzymskokatolicki i dwa ewangelickie, z których jeden był uszkodzony i nieużywany. Poza tym w Bartoszycach był kościół baptystów, prowadzący działalność od kwietnia 1946 roku. Kościół ewangelicki miał być przeznaczony na siedzibę teatru kukielkowego oraz świetlicę, drugi, zniszczony, został przyłączony do parafii katolickiej, jak większość świątyń protestanckich.

W jednym z protokółów czytamy: „Młodzież pracująca bardziej patrzy na księdza jak na KG [zapewne chodzi o komitety gminne PZPR] i kler opanowuje młodzież”³⁸. Do sprawozdania załączono pismo z KW PZPR, w którym przypominano, że 22 lutego 1946 roku Administrator Apostolski Diecezji Warmińskiej upominał się, by nie przeszkadzać Kościołowi w działalności, bo obowiązuje konstytucja z 1921 roku Dekret konstytucyjny z 1935, zwany Konstytucją Kwietniową, uchylał Konstytucję Marcową 1921 roku, ale tak zwana Mała Konstytucja z 1947 roku powoływała się na „podstawowe zasady” Konstytucji z 1921 roku oraz na Manifest PKWN i kolejne reformy, ogłaszane do czerwca 1946 roku Największe zmiany w stosunku do instytucji wyznaniowych nastąpiły w 1952 roku W referacie odczytanym na zebraniu 7 listopada 1953 roku była mowa o sługusach USA, o kardynale Wyszyńskim i księdzu biskupie Kaczmarku, którzy mieli duży wpływ na ludność i prowadzili „wrogą propagandę przeciw władzy ludowej”³⁹.

Z nadzorem policyjno-politycznym zetknęliśmy się bezpośrednio w 1952 roku w Masunach. Nasz kolega K. dostał pozwolenie na wybranie się w jakiejś sprawie (chyba po lekarstwo albo po to, by telefonować) do Sępopola. Poszedł tam na piechotę, a ponieważ zrobiło się gorąco, więc wszedł pod

³⁷ Tamże, k. 16, 174–180.

³⁸ AP Olsztyn, zespół Komitet Powiatowy PZP Węgorzewo, 2448, nr 1, k. 63.

³⁹ AP Olsztyn, zespół Komitet Powiatowy PZPR Węgorzewo. 2448/1.

most w pobliżu miasteczka i – jak opowiadał – przebierał się. Kiedy wyszedł, czekali na niego mundurowi i ktoś ubrany po cywilnemu, którzy zaprowadzili go na posterunek i zamknęli w celi. K. nie miał przy sobie dokumentów, a jego sposób mówienia mógł wydawać się dziwny: mówił wolno, z zastanowieniem, nieco sepleniąc, więc nie wzbudził zaufania i zatrzymano go przez całą noc. W końcu ktoś skontaktował się z Masunami i kolega W., nasz *kapo* albo *nadziratiel*’, przywiózł dowód osobisty K. i poświadczył, że jest on studentem z brygad. Podejznanego wypuszczono, ale o mały włos trafiłby z powrotem za kratki, bo żegnając się, wycedził: „To był żaszczyt siedzieć w mamrze Polski Ludowej”. Komendant MO zdenerwował się bardzo, biorąc to za jawne kpiny, ale wołał nie mieć do czynienia z wariatami.

„Tutejsi”: autochtoni – przesiedleńcy – osadnicy

Sądzę, że najważniejszym aspektem brygad zniwnych było nasze zanurzenie się w zupełnie nowym dla nas wszystkich środowisku ludzkim, niesłychanie heterogenicznym i niestabilnym. Kiedy wyjeżdżaliśmy do pracy w PGR-ach, ludzie tu urodzeni, zwłaszcza mający parę pokoleń „tutejszych” przodków, byli już nieliczni. Jeszcze można było ich spotkać, czasem zobaczyć ich gospodarstwa, ale kontaktowali się z nami niechętnie. Na wsi przeważali przybysze z różnych stron, którzy na ogół wywodzili się z chłopstwa, ale z powodu wojny mieli za sobą rozmaite doświadczenia. Niektórzy nie mieli wyboru – przysyłano ich na Mazury w ramach międzypaństwowych umów o przesiedleniach, inni zaś przybywali tu samodzielnie.

Powody wędrówki na Mazury były podobne: część mieszkańców dawnych terenów Polski, zajętych przez Związek Radziecki, nie chciała żyć w nowym państwie, inni uciekali od nędznej egzystencji lub przed represjami czy obowiązkiem wojskowym. Imigranci z Wileńszczyzny opowiadali, że przed wojną mieli zwykle około 10 ha ziemi, ale przyszli Rosjanie – z malutkiego majątku prawie nic nie zostało. Sporo osób zmieniało miejsce pobytu – przechodzili od jednego PGR-u do drugiego, jak jeden przybysz z Wołynia, który był gospodarzem rolnym, a w PGR-ze został pastuchem, czy małżeństwo z siedmiorgiem dzieci z Wileńszczyzny, które przeszło przez pięć państwowych gospodarstw. Przychodzili chłopci z Kurpiów i z Mazowsza, zwłaszcza duży napływ nastąpił około 1958 roku, co mogło być wynikiem „małej stabilizacji” w czasach Władysława Gomułki – polityka wobec chłopstwa stała się korzystniejsza, więc liczone na lepsze możliwości gospodarowania w stosunkowo mało zaludnionym miejscu. Najwięcej chłopów poszukujących pracy i ziemi przeniosło się z województw warszawskiego i białostockiego.

Swoje decyzje uzasadniali tym, że ich gospodarstwa były zaniedbane i w ich stronach panowała bieda⁴⁰.

W 1997 roku Wojciech Łukowski (2009: 62–68) przeprowadził badania na temat kształtowania się tożsamości narodowej i regionalnej ludności Mazur. Wyniki były następujące: 31% męskich przodków osób badanych pochodziło z Suwalszczyzny i okolic Augustowa, 19% z Kurpiów, z północnego Mazowsza oraz Podlasia, 11% z ZSRR (w granicach po 1939 roku), 12% z innych terenów. 27% badanych deklaroowało, że przodkowie pochodzili z Warmii i Mazur. Jest to na pewno liczba zawyżona – mieszkańcy województwa olsztyńskiego na przełomie XX i XXI wieku już niechętnie przyznawali się do korzeni w ZSRR, poza tym niewiele osób zdawało sobie sprawę z przebiegu nowych granic. Wojciech Łukowski uwzględnił płeć rodziców osób badanych i okazało się, że przybyszami z Kresów Wschodnich byli ojcowie, co jest oczywiste, bo na Mazurach osiedliło się wielu wojskowych.

Kiedy (w latach 2005–2017) pytałam studentów socjologii w Wyższej Szkole Informatyki i Ekonomii w Olsztynie o ich pochodzenie terytorialne, prawie wszyscy urodzili się w Olsztynie lub okolicach. Wszyscy twierdzili, że ich rodzice są „tutejsi”, albo – pochodzą „z Polski”, pod czym rozumiano kraj w aktualnych granicach. Poprosiłam o dokładniejsze podanie miejsce urodzenia matek i ojców, ale nie wszyscy je znali albo sądzili, że miejscowości, wymieniane przez rodziców, leżą gdzieś blisko. Kiedy na moją prośbę niektórzy sprawdzili miejsce ich urodzenia okazało się, że drobna część urodziła się na Mazurach już po 1945 roku, inni byli przybyszami. Miejsca urodzenia dziadków nie znał nikt z pytanych. Tylko jeden słuchacz w podeszłym wieku wiedział sporo o swoich przodkach i zmianach terytorialnych Polski.

Na podstawie badań przeprowadzonych w sześciu gospodarstwach 23 osoby urodziły się na terenie dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, w tym najwięcej w województwie warszawskim. Według danych z 1950 roku dla województwa olsztyńskiego przesiedleńcy z terenów należących do Polski przed 1939 roku stanowili 24,8%, repatrianci – 22,6%, ludność rodzima – 19,5%. W 1948 roku do Ukraińców zaliczono w 55 tysięcy, w wyniku akcji „Wisła” osiedlono tu 7500 osób. „Litwinów” przybyło 3 tys., poza tym przybysze mieli obywatelstwo rosyjskie i białoruskie. Wychodźcy z kresów wschodnich osiadali głównie w miastach i miasteczkach, gdzie stanowili 32,9% ludności, natomiast ludność kurpiowska i z północnego Mazowsza stanowiła 30,7% mieszkańców wsi (Szydłowska 2001: 28; Sakson 2002: 12).

⁴⁰ Szydłowska 2001: 51–54. W artykule pomijam sprawę akcji „Wisła”, w wyniku której na Mazurach znalazło się wielu osadników, ponieważ wymagałoby to wystarczająco obszernych wyjaśnień i liczb (o nich – odsyłam do prac A. Saksona).

Część ludności dostała się na Mazury w ramach akcji osiedleńczej powołanego w 1944 roku PUR, zastąpionego po roku przez Ministerstwo Ziem Odzyskanych). Od listopada 1944 roku do sierpnia 1950 roku prowadzono repatriację z polskich terenów, zajętych w czasie wojny przez Rosjan i włączonych do ZSRR. PUR działał poprzez oddziały wojewódzkie i powiatowe. Organizował punkty przesiadkowe i docelowe, co w praktyce polegało tylko na kierowaniu do konkretnych miejsc. Od listopada do końca 1944 roku na Prusy Wschodnie przybyło ogółem 300 tysięcy przesiedleńców, których kierowano najpierw w okolice Mrągowa, Szczytna i Olsztyna oraz poza Mazury – do województw gdańskiego, białostockiego i na Śląsk. Do grudnia 1945 roku na Śląsku PUR umieścił około 400 tysięcy repatriantów, w Prusach Wschodnich – 14,4 tysięcy, 700 tysięcy na pobliskich Mazurom terenach województwa białostockiego⁴¹. Szacuje się, że w latach 1944 i 1945 na „ziemie odzyskane” (Prusy Wschodnie, Śląsk Opolskim Dolny Śląsk, Pomorze Zachodnie) przybyło około 1 mln 600 tysięcy osób, z czego co najwyżej około miliona przeszło przez urzędy PUR, pozostali jechali na własną rękę⁴².

Nie wszystkie folwarki na terenie Prus Wschodnich były przekształcane w Państwowe Gospodarstwa Rolne – niektóre parcelowano. Parcelowaną lub opuszczoną przez mazurskich chłopów ziemię i domy pozwalano zajmować repatriantom. W języku urzędowym repatriantami nazywano osoby zamieszkałe w ZSRR (w granicach po aneksji części Polski w 1939 roku), mogące wylegitymować się przedwojennym polskim obywatelstwem. Poza tym przydział ziemi i domów otrzymywali byli żołnierze (rzadziej oficerowie), wcielani do Armii Czerwonej od końca września 1939 roku. Ani ich, ani mężczyzn wywiezionych na roboty przymusowe do Niemiec, powracających do Polski, formalnie nie zaliczano do repatriowanych, jednakże na co dzień nie zwracano uwagi na takie subtelności i nie miałyby znaczenia, gdyby nie kłopoty ze statystyką – trudno teraz policzyć osobno repatriantów i osiedleńców.

Warto dodać, że między tymi odmiennymi grupami zaczynały się niesnaski. Wszyscy zaczynali nowe życie w podobnych warunkach, mimo to od początku tworzyły się podziały, bo zwalniani z czynnej służby żołnierze mogli domagać się więcej niż pozostali przybysze i mieli większe możliwości zatrudnienia w biurach, zwłaszcza jeśli ukończyli kilka klas szkoły. Repatrianci dostawali do 12 ha jako rekompensatę za ziemię zostawioną na wschodzie, natomiast osadnicy wojskowi, jak pisze Ewa Wilk, w praktyce brali tyle ziemi, ile chcieli. Niekiedy powstawały całe osady wojskowe; w województwie

⁴¹ Banasiak 1963; Sakson 2002: 12; AP Olsztyn, zespół Prezydium GRN w Sępopolu, 676/13, *passim*.

⁴² Banasiak 1963: 111; Milczarek, Kruszewski 1980: 65–71.

szczecińskim utworzono ich siedem, po kilka w powiatach ełckim, gołdapskim i oleckim. Własność postanowiono uregulować w 1956 roku, zaczęto więc akcję pomiarów, po której bezprawne przyłączanie ziemi nadal trwało. W 1964 roku podczas elektryfikacji znowu weryfikowano własność i okazało się, że – obszar ziemi gospodarzy oraz niektórych PGR-ów się powiększyły⁴³.

Jeszcze inny typ osadników stanowili chłopcy z Kurpiów i Mazowsza, którzy zajmowali ziemię na Mazurach w okolicach Nidzicy, Pisu i Szczytna. Jeśli ich gospodarstwa były nędzne, to nie z powodu braku doświadczenia, ale dlatego, że prowadzili grabieżczą gospodarkę – zbierali zboże wcześniej zasiane przez Mazurów, ogołocali pozostawione gospodarstwa z inwentarza, zapasów żywności i wszystkiego, co miało jakąś wartość, dewastowali zabudowania i gdy już nie było czego zjeść ani zebrać, wracali w swoje rodzinne strony⁴⁴. Na Mazurach próbowali zatrzeć swoją przeszłość także uciekający przed prawem – kryminaliści, ludzie prześladowani za pochodzenie lub działalność w organizacjach militarnych w czasie wojny. Mazury nie były piękną, sielankową krainą, bo ludzie czuli się wyrzuceni na margines, zagrożeni grabieżami i gwałtami. Stefan Banasiak uważa, że najgorsza sytuacja panowała na obszarach przylegających do dawnej granicy z 1939 roku⁴⁵.

W protokołach lokalnych mamy informacje o obietnicach dostarczania chłopom zboża na zasiew i o tym, że nie dotrzymywano tych obietnic, ponieważ ziarna było za mało i „średniorolni” (posiadacze od 5 do 10 ha ziemi) nic nie dostawali. Przez wiele lat zaopatrzenie było bardzo złe, zwłaszcza narzekano na brak mąki i cukru, czasem soli, także gwoździ i materiałów do napraw budowlanych. W miejscowościach, gdzie były PGR-y, widoczny był mur niechęci i nieufności, ponieważ ludzie nie byli pewni, czy granice powojenne są stabilne, walczyli między sobą w sklepach spółdzielczych o towary, obawiali się szabrowników, posuwających się za wojskiem.

Kierownictwo państwowych i spółdzielczych gospodarstw rolnych na początku w większości składało się ze zdemobilizowanych żołnierzy, potem było już dość przypadkowe. Na przykład kierownikiem PGR-u w Czółnowie (powiat myśliborski w województwie szczecińskim) był zdemobilizowany żołnierz, który przeszedł od Lenino do Berlina, ale ukończył tylko 4 klasy szkoły podstawowej. Nawet jeśli kierownicy byli dawniej rolnikami, nie mieli żadnego doświadczenia w zarządzaniu dużymi majątkami. Także miejscowi

⁴³ Wilk 1995. Więcej na ten temat w: Fuszara 2012: 313–352.

⁴⁴ Banasiak 1963: 90-91, 113–114, 130. O rozmowach z byłymi żołnierzami opowiadał Bolesław Korczak. Por. też: Protokół zebrania Gminnego Komitetu PZPR w Baniach Mazurskich, 2448/1, k. 3.

⁴⁵ S. Banasiak 1963: 196. Teksty zamieszczone w tomie *Codzienność zapamiętana*, nie odnoszą się do omawianego tu okresu, a w opracowaniu wstępnym są ogólne, tu mało przydatne.

działacze partyjni byli niewykształceni. W 1953 roku wzmożono akcję werbowania do pracy w Milicji Obywatelskiej i w Urzędzie Bezpieczeństwa, poszukiwano kandydatów do szkół oficerskich, ale okazało się, że nie ma kogo zatrudnić lub wysłać na szkolenie wojskowe, ponieważ ludzie nie mieli przygotowania do nauki nawet na średnim szczeblu. Trudno im było wykonywać proste prace biurowe na skutek słabej znajomości języka polskiego i nieporadności w rachunkach. Trudno się dziwić stylistyce, interpunkcji i ortografii dokumentów – czasem więcej mówi ona o społeczeństwie „ziem odzyskanych” niż roczniki statystyczne.

„Ziemie odzyskane” оголошено natomiast z dawnej ludności. Ewakuacja autochtonów mazurskich do Niemiec zaczęła się na jesieni 1944 roku i najpierw objęła tereny położone na wschód od wielkich jezior. Z obszaru odpowiadającego późniejszym powiatom ełckiemu, oleckiemu i gołdapskiemu wywieziono niemal wszystkich – w lutym 1946 roku liczba ludności stanowiła 1,7% liczby z maja 1939 roku, choć od pewnego czasu już napływali repatrianci. W 1945 roku szacowano, że na terenie Warmii i Mazur mieszka 131 tysięcy Niemców, z których około 80 tysięcy osób nazwano Mazurami, 40 tysięcy Warmiakami. W stosunku do pozostałych, czyli Niemców, PUR prowadził politykę nazwaną „normowaniem stosunków własności”, w praktyce zmuszającą do wyjazdu.

Wyjeżdżających i przyjeżdżających trudno policzyć, bo była duża płynność osadnicza. Część osiedleńców szybko odchodziła, przeważnie na wybrzeże. Gminne Rady Narodowe jeszcze w połowie lat pięćdziesiątych XX wieku zajmowały się przydziałem opuszczanych kwater i gospodarstw kolejnym przybyszom. Wiele ludzi osiedlało się bez rejestrowania w jakimkolwiek urzędzie. Później, kiedy zostało już niewiele „tubylców” i skończyły się masowe wyjazdy, sytuacja na Mazurach zaczęła się stabilizować. Wyjazdy zaczęto utrudniać, za to do województwa olsztyńskiego powoli przenosili się mieszkańcy z różnych stron Polski z własnego wyboru, nie pod przymusem.

Po 1976 roku, czyli po układzie podpisanym z jednej strony przez Edwarda Gierka, z drugiej – przez ministra spraw zagranicznych Helmuta Schmidta, szybko wydawano paszporty w celu „łączenia rodzin” i w ten sposób wypchnięto resztki Mazurów do RFN. Skorzystały na tym obrotne osoby, które nie należały do ludności tubylczej, ale wchodziły z nią w koligacje, na przykład w gminie Stawiguda zostało 280 mieszkańców, a wieś Pluski opuściła połowa ze 100 mieszkańców. Jedna z Mazurek, mieszkająca w Piszu, która nie wyjechała, w 1987 roku opowiedziała dziennikarzowi, że wbrew zapewnieniom władz i dziennikarzy o dobrym traktowaniu Mazurów, otaczała ich nieufnością i niechęcią ze strony administracji lokalnej i ludności, która uważała

się już za „tutejszą”. Urzędników lub funkcjonariuszy rekrutowano najczęściej spośród przybyłych z okolic Kolna chłopów (Socha 1988: 141–146).

Sprawozdania o stanie majątkowym, sporządzane na podstawie zeznań gospodarzy, posiadających ziemię, pozwalają na zapoznanie się z sytuacją rolników, którzy nie byli stałymi pracownikami Państwowych Gospodarstw Rolnych, ale trzeba brać pod uwagę, że zeznaniom nie całkiem należy wierzyć. Nie licząc podatków i dostaw obowiązkowych, musieli oni określoną liczbę godzin pracować dla PGR-u, zwozić zboże, kosić itp. Musieli używać własny sprzęt i konie, czasem też nieodpłatnie wypożyczać je gospodarstwu państwowemu. Stali robotnicy PGR-u mieli prawo do uprawy własnego kawałka ziemi i do hodowli na własny użytek, a wtedy areał ziemi i liczbę zwierząt odnotowywano w sprawozdaniach. Na własne oczy widzieliśmy różnice między stanem gospodarki Mazurów – autochtonów, i przybyszy, zwłaszcza repatriantów; ziemia Mazurów była starannie uprawiona, zabudowania – porządne, a w piwnicach trzymano zawekowane potrawy. Potwierdzały to spostrzeżenia archeologów, odbywających co roku wielomiesięczne wędrówki po mazurskich polach, w poszukiwaniu stanowisk prehistorycznych. Problem w tym, że autochtonów została garstka.

W 1958 roku były prowadzone badania o ogólnopolskim zasięgu pod kierunkiem Adama Sarapaty (1965: 11, 153, za: Szydłowska 2001). Częściowo dotyczyły one także robotników PGR-ów. Wśród 29 klasyfikowanych zawodów w hierarchii prestiżu znaleźli się na 22 miejscu, na 28 miejscu w poziomie konsumpcji materialnej. Badania wykazały, że pracownik PGR-u traktowany był wrogo i pogardliwie. Z taką stygmatyzującą opinią spotykałam się stale przed transformacją i po niej. Pamiętam niezwykle ubogą i schorowaną młodą jeszcze kobietę, matkę gromadki dzieci („co rok prorok”), żonę alkoholika, wyrzucanego z pracy, częstego gościa Izby Wyrzeźwień. Rodzinie groziło usunięcie z piwnicy, którą zajmowała w Warszawie (był to 1956 roku). Kobieta mi powiedziała: „Spadliśmy na dno, *musimy* jechać do PGR-u”. Badania Sarapaty i jego współpracowników wykazały nadto, że jeśli nawet w stylu życia samodzielnych rolników-gospodarzy i robotników PGR prawie nie było różnicy, to człowiek z PGR-u był traktowany jako „gorszy”. Tylko jeden przybysz (pochodził aż z Irkucka) nie dostrzegł społecznego upośledzenia ludzi z PGR-u; może był nieźle traktowany jako „obyty” – w czasie wojny był wywieziony na roboty do Rzeszy. Jedna z udzielających wywiadu kobiet powiedziała, że żyje się jej dobrze, ale nie może liczyć na innych, bo ludzie dbają tylko o własne interesy i nie pomagają sobie (Szydłowska 2001: 3, 6). Mieszanka religijno-etniczna nie sprzyjała integracji, w dodatku niektórych przybyszów obawiano się, bowiem byli to ludzie ścigani przez prawo – członkowie „band”, czyli nielegalnych grup zbrojnych i ich krewni, bywali też pospolicimi przestępcy.

W 1981 roku na podstawie wypowiedzi osób z siedmiu Państwowych Gospodarstw Rolnych, dziennikarka i eseistka Joanna Siedlecka (1981) opublikowała w „Kulturze” obraz rodziny „pegeerowskiej”. Respondentami byli dojarka, oborowa, kuchenna, mechanik i zatrudniani przy różnych pracach robotnicy dniówkowi. Siedlecka doszła do wniosku, że ci ludzie nie mieli żadnych szans na awans społeczny. Dzieci pracowników PGR-ów kończyły 5–6 klas szkoły podstawowej, potem pracowały tak, jak rodzice, zwykle w tym samym miejscu. Wyjątkowo któreś z nich kończyło 7 klas lub zawodową szkołę rolniczą. Nauka nie szła im dobrze, bo były zmęczone, jak cała rodzina. Dzieci rolników indywidualnych dokuczały „pegeerowskim” i przeżywały głębami, brudasami, wszarzami. Dawano wyraz poczuciu nieodwracalności losu: „I tak pójdą do obory, a na co tam komu nauka”. W reportażu przemilczano, że niemal wszyscy mężczyźni tęgo pili, a niektóre kobiety dorównywały im.

My na „Dzikim Zachodzie”

Kiedy jeździliśmy do PGR-ów, zbieranina ludzka, jaka przeszła przez „ziemie odzyskane”, była w ciągłym ruchu, zróżnicowana i niestabilna. Mieliśmy za mało wiedzy, coś tam do nas docierało, ale sens „tego czegoś” zrozumieliśmy znacznie później. Kontaktów osobistych prawie nie mieliśmy – w tej pstrokatej, podzielonej na wrogie grupy i niestabilizowanej społeczności trudno było o kontakty i zalecane przez awangardową partię bratanie się z „robotniczo-chłopską młodzieżą”. Trudno było też przełamać nieufność starszych ludzi, zwłaszcza Mazurów. Dopiero w 1955 roku nam i archeologom udało się nawiązać znajomości z „tubylcami” w czasie pobytu w województwie szczecińskim. Na Mazurach przebywaliśmy głównie we własnym gronie, w wolnych dniach urządzając wycieczki w poszukiwaniu miejsca do kąpieli lub do pobliskich miasteczek. Już wspomniałam, że dawne miasta, które mogliśmy zobaczyć, na ogół nie były zbombardowane, ale zdewastowane lub zanedbane, niemal bezludne. Po pracy ludzie kryli się w budynkach i jeśli ktoś szedł ulicą, to szybko i jakby chyłkiem. Gwarno i tłoczno było w knajpach, nazywanych wtedy mordowniami. Gośćmi prawie wyłącznie byli mężczyźni.

Najgorsze wrażenie zrobiła na mnie Gołdap (wtedy mówiono „ten Gołdap”), w której miałam okazję być parę razy. Pierwszy raz pojechałam tam w 1955 roku z kierownikiem PGR-u furmanką zaprzęzoną w jednego konia. Kierownik podobno miał do załatwienia jakąś sprawę. Koń właściwie szedł sam, w Gołdapi doszedł prosto pod knajpę i tam stanął. Kierownik powiedział: „Zaraz wracam” i znikł na jakieś dwie godziny. Koń stał cierpliwie, a ja

siedziałam beczynnie lub przechadzałam się po czymś, co było dawniej miejskim rynkiem, czyli głównym placem. Było popołudnie; w pewnym momencie kobiety zaczęły zamykać okiennice i znikwały w domach, starannie zamykając za sobą drzwi. Wzmagał się za to hałas w knajpie, w której było ciemno od tłumu mężczyzn, jak zwykle ubranych w czarne spodnie i marynarki. Głosy były zachryple, ale wrzaski coraz donośniejsze. Wreszcie kierownik wytoczył się z knajpy, jakoś wdrapał się na wóz i od razu zasnął. Na siedzeniu woźnicy zostałam sama, ale nie musiałam się martwić powożeniem, bo koń sam ruszył i tym razem żwawo pojechał gdzie trzeba. Po dotarciu do PGR-u mogłam zostawić wóz, konia i śpiącego kierownika, którym musiała zająć się jego żona.

Niedługo po tym odbyłam drugą wyprawę do Gołdapi pociągiem, w towarzystwie kolegi. W ponurym mieście nie było niczego do zjedzenia lub kupienia, do knajpy nie ośmieliliśmy się wejść. Pociąg miał odejść późno, na stacji nie było nikogo, dopóki nie wtoczyli się na peron tutejsi kowboje – pijana młodzież, która zapewne opróżniała butelki poza karczmą, bo tak było taniej. Schowaliśmy się za jakiś wagon towarowy i w końcu nadjechał pusty pociąg, do którego pijacy nie wsiedli. Po upływie ponad dwudziestu lat znalazłam się w Gołdapi z grupą archeologów, którzy wybrali się na badania terenowe. W mieście odpoczywaliśmy i jedliśmy obiad. Nie było już tak strasznie jak w 1955 roku, ale ciągle miasto było ponure, zaniedbane, widać było zniszczenia wojenne i spowodowane przez wojska radzieckie. Ludzie byli mało widoczni. Kiedy pojechałam tam około 2010 roku, nie poznawałam już miasta, które tętniło życiem i wyładniało.

Nie tyle województwo szczecińskie, ile Warmia i Mazury były nazywane „dzikim zachodem”, chociaż to nie pasowało do położenia geograficznego w kraju. W antyniemieckim artykule znany dziennikarz Wojciech Giełżyński pisał: „Ruszyły tedy od Myszyńca, od Łomży, od Ostrołęki rzesze Kurpiów. Zabiedzonych, bezwolnych, a łasych na ziemię (...) Ruszyły też za frontem wszelkie szumowiny. Szabrownicy, handlarze, paserzy, dezerterzy z milicji, pospolici zbrodniarze, niebieskie ptaki, przefarbowani konfidenci (...) ruszyli na żer mali złodziejaskowie i wielkie kułackie ryby [*sic!*], kowboje i cwaniacy swojskiego chowu, kombinatorzy – męty (...) Już było lepiej, ale po 1948 roku poszło na gorąco”, trzeba było aresztować nawet takich Mazurów, „którzy kiedyś walczyli o polskość”. Nie jest jasne, dlaczego sytuacja pogorszyła się po 1948 roku (po zjednoczeniu PPS i PPR?), ani dlaczego aresztowano Mazurów, skoro gwałtów dopuszczały się przybywające „wielkie szumowiny”. Inny dziennikarz dostrzegł paradoksalną sytuację: sprowadzano repatriantów, bo potrzebne były ręce do pracy, w Mazurach zaś wzbudzali niechęć i miejscowe władze odżegnywały się od przyjmowania ich do

pracy⁴⁶. Ludność była wyraźnie zastraszona i zdeorientowana. Niekiedy były wzmianki o Armii Czerwonej, z których można się domyślać, że sprawcami rozbojów i gwałtów byli często radzieccy żołnierze (Szydłowska 2001: 51–54).

Mazury powoli przestawały kojarzyć się z „dzikim zachodem” pod wpływem gomułkowskiej „małej stabilizacji” i elementów urynkowania gospodarki za czasów Gierka, poza tym zanikały obawy przed ponowną regulacją granic. Ziemia stawała się coraz droższa, zwłaszcza w okolicy dużych miast, więc przybywali tu ci, którzy liczyli, że zamiast niewielkich zbiorów a dużych obciążeń na rzecz państwa, lepiej zaryzykować życie na Mazurach – a nuż uda się nie zapłacić podatków i uzyskać czasowe zwolnienie od dostaw obowiązkowych, które obowiązywały – z krótkimi przerwami i licznymi nowelizacjami – od 1944 do końca 1971 roku. Nawet w PGR-ach czasem można było nieźle się dorobić, co prawda, choć w niezbyt uczciwy sposób. Jeden z przykładów został opisany w tygodniku „Kultura”⁴⁷.

W czasie pierwszego wyjazdu w 1952 roku byliśmy całkowicie odseparowani od ludzi przebywających w gminie Sępole. Osiedlili się tam Łemkowie, którzy podawali się za odłam Ukraińców. Mówiono o nich „Ukraińcy”, a nasza koleżanka Ola T., żarliwa komunistka, nazywała ich „banderowcami”, a tych należało się strzec. „Ukraińców” zresztą nie odróżniano od Białorusinów. Niektórzy przybysze powiadali, że są „zza Buga” – nie chcieli się określać albo nie wiedzieli, czy są Polakami, czy Rosjanami, jako obywatele ZSRR. W Mrągowskim była grupa filiponów, zapewne potomków tych, którzy jeszcze pozostali w Polsce. W Myśliborzu i Czółnowie pod presją władz osiedlili się świadkowie Jehowy. Byli dyskretni, nie chcieli nic mówić o sobie, ale jeden opowiedział o prześladowaniach, jakich doznał wraz z innymi

⁴⁶ Sulima 1946; Giełżyński 1956; Kurowski 1957 – wszystkie reportaże przedrukowane w książce *A dąb rośnie*, s. 17–22, 26–34, 34–40.

⁴⁷ Mońko 1981. Przypadek dobrze charakteryzuje lata siedemdziesiątych XX wieku: w 1971 roku odwołano kierownika jednego z PGR-ów koło Kętrzyna i wszczęto śledztwo na skutek zbyt wielkiego deficytu (mówiąc po prostu – za wiele rozkradziono). Kierownictwo przejęli dwaj pracownicy, którzy wkrótce zaczęli się chlubić „modelowym agrokompleksem”. Pracownicy Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie chwalili gospodarstwo, między innymi przekonywali, że rolnicy dziennie dają bydłu wody i dodatków do paszy mniej, niż wynosi norma w PGR-ach (nawet farmerzy w USA mieli być gorszymi karmicielami zwierząt hodowlanych). Zwożono gości z zagranicy, żeby podziwiali socjalistyczną gospodarkę, Edward Gierek osobiście pochwalił kierownika „modelowego agrokompleksu”, w jednym z przemówień z rozbrajającą szczerością wyznając, że oto zobaczył „prostego człowieka”. Wtórowali mu Piotr Jaroszewicz i minister rolnictwa Leon Kłonica; rozdano medale. Tymczasem koło zabudowań było błoto i odchody, bydło wyglądało nędznie, w ciągu jednego roku padało do 200 cieląt, widoczne było pijaństwo pracowników. Publikowane dane okazały się fikcyjne. Ostatecznie nowy kierownik stanął przed sądem i został odwołany ze stanowiska. Mimo to olsztyńscy naukowcy obstawali, że PGR odniósł sukces, kierownik zaś wkrótce został szefem kombinatu rolnego „Mazury” w Szczytnie.

współwyznawcami. Świadków Jehowy udało mi się poznać lepiej w 1954 roku w PGR-ze koło Myśliborza.

Mam zapisaną relację kolegi C. o rozmowach prowadzonych między ludźmi z PGR-u lub między nimi i kimś ze studentów. W tych rozmowach „przewijała się nieustannie tęsknota za dawnymi, znanymi im od dzieciństwa, malowniczymi krajobrazami, utraconymi gospodarstwami bądź innymi warsztatami pracy, a szczególnie za mieniem tam pozostawionym. Przesiedleńcy ci łądzili się nadzieją na powrót do miejsc, które zmuszeni byli opuścić, bo deklarowali się obywatelami Polski”. W parze z traumą przesiedleńczą szło przekonanie, że wojna nie skończyła się. Jedni mówili to z obawą, inni z nadzieją, że będzie interwencja aliantów. Ani jedni, ani drudzy nie wierzyli w trwałość granic i stabilizację życia na „ziemiach odzyskanych”. Różne przekazy świadczą, że nawet po październiku 1956 roku mieszkańcom Mazur i Pomorza Zachodniego przyszłość jawiła się jako niepewna.

C. w przesłanej mi relacji napisał: „Mieliśmy wiele okazji, aby w czasie pobytu w St[udenckich] OHP usłyszeć miło brzmiącą mowę, choć trochę śpiewną, o zabarwieniu regionalnym, wschodnim, a szczególnie barwne w treści rzewne melodie, śpiewane przez współpracujących z nami robotnikami i robotnikami PGR. Dochodziły do naszych uszu także z ich miejsc przebywania i zamieszkania, które znajdowały w bliskich sąsiedztwach. Umilały nam one pobyt i wypoczynek”. Jest to opis pracy w PGR-ze w 1953 roku, ale chyba tylko raz miejscowe władze urządziły spotkanie (czyli tak zwaną wieczornicę) z miejscową młodzieżą, zresztą zakłócone incydentem, o którym jeszcze będzie mowa. Poza tym ani ja, ani nikt inny nie pamiętał ani wspólnych śpiewów, ani bliższych kontaktów z tubylcami.

W PGR Masuny w 1952 roku obchodziliśmy z daleka tamtejszą młodzież, bo się jej baliśmy, w kolejnych latach mogliśmy mieć kontakt tylko z kobietą przydzieloną do gotowania lub dwoma, trzema mężczyznami ze stacji maszynowo-traktorowej przyjeżdżających do pracy, wykonywanej z niechęcią i niechęcią⁴⁸. W PGR-ze w województwie szczecińskim (w 1954 roku) były urządzane potańcówki, bawiliśmy się wspólnie z miejscową młodzieżą, mieliśmy z nią chwilowe kontakty. Nieufność podsycaly starsze kobiety, przestrzegające nas przed miejscową „chołotą”. Antagonizmy wśród mieszkańców były większe od niechęci do *Nas* – przybyszów z innego świata. Także później, już na początku XXI wieku, mieszkańcy Warmii i Mazur, z którymi miałam okazję rozmawiać, mówili o wrogości i nieufności między dawnymi mieszkańcami, nazywanymi po prostu Niemcami, a nowymi przybyszami, zwłaszcza z tere-

⁴⁸ Charakterystyczne, że stacje maszynowo-traktorowe nazywano w skrócie MTS – skrót od rosyjskiej nazwy *maszyno-traktornyye stancyi*.

nów Mazowsza. Taka sama niechęć i obawa panowała między ludnością pochodzącą z kresów i Polakami z centralnych regionów Polski. Mazowszanie i Kurpiowie przekraczający dawną granicę nie darzyli sympatią przybywających z innych rejonów Polski. Na wiejskich zabawach, urządzanych w stodołach lub opuszczonych budynkach, na które chodziliśmy z ciekawości, poszukując rozrywki lub ulegając poleceniom bratania się z młodzieżą robotniczo-chłopską, panowała pełna napięcia atmosfera.

Zapamiętałam zwłaszcza jedną zabawę: w 1952 roku w Masunach. Odbywała się w izbie opuszczonego domu, z oknami pozbawionymi szyb i pokrytą podłogą tak, że deski były niewidoczne, kłębił się tłum chłopaków i młodych mężczyzn, dziewczyn było mało. Do tańca przygrywał akordeonista, ktoś rzępolił na skrzypkach, jeszcze ktoś dmuchał w organki. Wspominany już kolega wyseplenił z całą powagą: „trzeba zająć pozycje sz strategiczne” – plecami do ścian, blisko okien, by uniknąć ataku z tyłu i szybko wyskoczyć. Obecni nie zaczepiali nas, tylko zerkali z zaciekawieniem. Próbowaliśmy nawet tańczyć – zniechęcił do tego kurz. W pewnym momencie tańce przerwano, bo „tutejsza” młodzież rozpoczęła grę towarzyską. Polegała ona na tym, że wyciągnęli jakiegoś gamoniowatego chłopaka, otoczyli kołem i grali „w dupnika”, tyle że mocne uderzenia nie były wymierzane w pośladki, tylko w głowę. Chłopak miał wykryć, kto go uderzył, ale już po chwili kręcił się w kółko, z wybałuszonymi oczami. Chyba był zupełnie oszołomiony i nie upadł tylko dlatego, że razami w głowę podtrzymywano go na chwiejących się nogach. Wtedy wymknęliśmy się z tej pegeerowskiej tancbudy na kwaterę, bo tam po zmroku chodziły patrole straży przygranicznej i wydawały się trochę mniej groźne od bawiącej się młodzieży. Na tej zabawie usłyszałam, jak ktoś mówił z nutą przechwałki: „Tu u nas, na dzikim zachodzie...” – nazwa była w użyciu przez kolejne ćwierć wieku.

Na podstawie reportaży z lat dziewięćdziesiątych można zauważyć pewne zmniejszenie się niechęci do Niemców. Zaczęto ich chwalić za gospodarność, a potępiać „rozdrapywanie wszystkiego, co się dało”. Niektórzy wysiedleni Mazurzy wracali, czasem na krótko, bo zastawali zniszczone wszystko, czego się dorobili. We wsiach przygranicznych w okolicach Braniewa w 1945 roku mieszkało jeszcze 800 przedwojennych mieszkańców – gospodarzy, natomiast w 1995 roku było tylko 100 osób. Oprócz dość irracjonalnej obawy i niechęci wobec „obcych” powody konfliktów były praktyczne – rodziły się na tle wynagrodzeń, dostaw obowiązkowych, szarwarku, widocznego marnotrawstwa i złej organizacji pracy (Bikont 1993, za: *A dąb rośnie...*: 175–180).

W 1952 roku w Masunach zdarzyło mi się dwa dni podawać snopki na wóz Mazurowi, mówiącemu po polsku, który jeszcze nie wyjechał. Miał swoje

gospodarstwo i był zobowiązany do odrobku w PGR-ze wraz z koniem i zaprzęgiem. Dziwiłam się, dlaczego ładujemy tylko do wysokości górnej belki drabiny, a nie z „górami”, jak to zwykle robili gospodarze. W stodole, gdzie zrzucaliśmy te snopki, jeden człowiek stawiał kreski – odnotowywał liczbę kursów, ale nie sprawdzał, ile zboża wieziemy. Po pewnym czasie przebywania razem Mazur zaczął mówić to i owo, między innymi przyznał, że nie będzie się starał, bo i tak płaci podatki, a praca przymusowa jest nadużyciem, wynikającym z systemu politycznego. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć, w głowie zapanował chaos. Teraz żałuję, że byłam za głupia, żeby go wypytywać i słuchać, co mówi, może trochę uleczyłby mnie z naiwności.

Urządzaliśmy zabawy, na które przychodzili młodzi ludzie z PGR-u, były nawet parogodzinne flirty. Wspominałam o opowiadaniu A.I.-K. – może nie było ono zupełną fikcją. Wtedy też jeden z kolegów poznał jakąś niebrzydką i wesołą pannę z Myśliborza, z którą pojechaliśmy się spotkać, zabierając jeszcze jednego kolegę. Zaprosiła nas do siebie i urządziła ucztę – do wódki „cytrynowki” podała białe (co należy podkreślić!) pieczywo i miskę pokrojonych pomidorów, doprawionych i zalanych śmietaną, co było dla mnie nowością. Wszystko smakowało, bo stale byliśmy głodni. Do Czółnowa wracaliśmy na piechotę, kiedy już świtało, na sen już czasu nie było. W tych okolicach nie było przesiedleńców ani wygnańców z Bieszczad, a mimo to „ludzie PGR-u” byli bardzo skłóceni. Postanowiłam zostać w PGR-ze dłużej, cała grupa wyjechała. Zdecydowałam się mieszkać w pokoju dwu dziewczyn – robotnic, w baraku pracowniczym. Kiedy o tym usłyszały kobiety z kuchni, zaczęły mnie przestrzegać, że „lep[iej] tam nie sypiać”. Myślałam, że chodzi jej o „rozpustę”, ale okazało się, że lokatorzy baraków należeli do wspólnoty świadków Jehowy. Nic się nie wydarzyło, nikt nie próbował mnie nagabywać lani molestować. Zauważyłam, że świadkowie Jehowy zachowywali dość dużą powściągliwość. Potem jednak wyszła na jaw druga, ciemniejsza strona wspólnoty: trójka młodych ludzi zwierzała się, że są podporządkowani starszym (głównie mężczyznom) i są kontrolowani. Ale i tak jest lepiej – mówili – niż w komunie wyznaniowej w ich rodzinnej miejscowości (nie spytałam, gdzie to było), bo tam był straszny terror.

Pomiędzy studentami panowała komitywa, przynajmniej pozornie. Czasem na skutek zmęczenia kogoś ponosiły nerwy i wybuchała ostra, ale krótka kłótnia – a to, że ktoś źle podaje snopki na wóz drabiniasty, a to, że powinna być zmiana w trakcie wykonywania nieprzyjemnej pracy itp. W Masunach czuliśmy nad sobą baczne oko towarzysza kapo R.W., naszego kolegi z roku (potem znanego, cieszącego się estymą profesora). Starał się pokazywać jako miły człowiek, dobry i wyrozumiały przyjaciel, ale donosił i „w trosce o kolegów” był stróżem ich sumień, poglądów i moralności. W 1952 roku miał

kontakty z zarządkiem partyjnym w Sępopolu i milicją, więc byliśmy wobec niego powściągliwi, choć narzucał się ze swą przyjaźnią.

W 1953 roku historycy byli umieszczeni w dwóch PGR-ach, odległych od siebie kilkanaście jeśli nie więcej kilometrów; w grupie, w której się znalazłam, ktoś mógł być „okiem” partyjnym i organizatorem, ale nawet nie wiem kto – nikt nie robił wrażenia nadzorcy. W 1954 roku taką rolę mógł pełnić tylko starszy od większości i pragmatyczny B.K., ale nie można mu nic zarzucić. Atmosferę psuli czasem koledzy upijający się, przy tym plotkarsze i intryganci, ale były to pojedyncze przypadki. W Czółnowie zdarzyło się, że jednego trzeba było wiązać, bo wpadł w *delirium tremens*.

Są przecież jeszcze ciemniejsze strony naszego życia. Na dosłowne przytoczenie zasługuje fragment listu, jaki w 2012 roku wysłał mi cytowany już C. Są to zapiski o pobycie w Grunajkach w 1953 roku. Autor listu mile wspominał pobyt na żniwach, „Chociaż raz zdarzyło się coś – pisał – i to na forum publicznym w czasie naszego wspólnego spotkania w świetlicy miejscowej, kiedy jeden z pracowników ujawnił aż nazbyt dosadnie swoją opinię n[a] t[emat] gospodarki socjalistycznej w ZSRR i wyraził zgoła odmienny punkt widzenia i ocenę jej funkcjonowania, niż starała się przedstawić w swoim wystąpieniu aktywistka ZMP Ola T. na podstawie zdobytej wiedzy propagandowej [była to nasza koleżanka, po studiach pracownik Wydziału Historii Partii przy PZPR, w 1957 roku przemianowanego na Zakład Historii Partii KC PZPR]. Wypowiedź traktorzysty p. Mikołaja, a właściwie jego relacja o prawdziwej sytuacji ludzi tam żyjących okazała się niemal dla wszystkich słuchaczy bardziej wiarygodna i przekonująca, bo oparta na własnych przeżyciach i doświadczeniach w Kraju Rad w latach jego pobytu tam tylko w latach 1939–1943. Z ogromnym przejęciem opowiadał o nieprawdopodobnej biedzie i niedostatkach, zwłaszcza żywności i innych art[ykułów]. pierwszej potrzeby, szczególnie doskwierającym głodzie, a nadto niepewności jutra i z powodu panującego systemu polit[ycznego]. Przerwane w ten sposób wystąpienie propagandowe kol[eżanki] Oli nie zostało już wznowione, tylko zaplanowany program artystyczny był nadal realizowany, ale w nieco odmiennym nastroju (...). Podjęta na wniosek Oli próba ukarania p[ana] traktorzysty jakąś naganą za wrogie i antysocjalistyczne wystąpienie nie powiodła się, bowiem p. Mikołaj dysponował dodatkowym argumentem i motywami nie do podważenia i przecenienia, a w każdym razie nie do zlekceważenia, a mianowicie 19 orderami wojennymi, przyznanymi mu przez władze radz[ieckie] i polskie za odwagę i bohaterstwo w czasie walk frontowych na szlaku bitewnym żołnierskim od Lenino po Berlin”. Podobną relację o tym samym zdarzeniu usłyszałam od B.K., też aktywisty partyjnego, ale o dużym poczuciu przyzwoitości. Opowiedział mi, że tow. Ola przemawiała i w pewnym

momencie jej przemówienie zostało przerwane okrzykiem traktorzysty Koli (tak brzmi rosyjskie zdrobnienie imienia „Mikołaj” – „Nikołaj”): „Gówno prawda!”. Traktorzysta miał około 50 lat, wychował się w dobrach Potoczkich za Bugiem, walczył najpierw w armii radzieckiej, potem w Ludowym Wojsku Polskim, przez jakiś czas służył jako kierowca Michała Roli-Żymierskiego. Może później traktorzysta był ukarany, a może przymknięto na wszystko oko – miejscowe władze zapewne nie były kontente, że jakaś głupia studentka wprowadza zamieszanie, a traktorzyści byli potrzebni.

* * *

Jednym z sukcesów nowego ładu politycznego po 1990 roku była likwidacja Państwowych Gospodarstw Rolnych. Koszty społeczne ich upadku były duże, jak zresztą całej transformacji, bo sporo osób straciło zarobki, przy czym część z nich okazała się niezdolna do adaptacji w nowych warunkach. Zrodziło się współczucie dla „ludzi z pegeerów”. Po pewnym czasie okazało się, że nie było tak źle, jeśli na przeszkodzie nie stała zupełna demoralizacja, polegająca na beczynności i jeszcze większym niż zwykle alkoholizmie.

W jednym z reportaży opisano życie byłego pracownika zlikwidowanego PGR-u. Prowadził on gospodarstwo, które znajdowało się w złym stanie, bo nie miał maszyn, stodoła mu się waliła, nie miał pieniędzy na to wszystko. Miał jednak 4 krowy i konia, więc w porównaniu z biednym chłopstwem z centralnej Polski, których sytuację lepiej znałam, nie było to tak mało. Poza tym mógł uprawiać leżącą odłogiem ziemię dawnego PGR-u – było na to przyzwolenie, ale tego nie robił. Z poziomu życia już nie mógł zrezygnować: miał nowoczesny telewizor, antenę satelitarną, sprzęt wideo z wieżą⁴⁹.

Po wejściu do Unii Europejskiej pojawiły się nowe możliwości: zaczęto się ubiegać o miano „wsi popegeerowskiej”, bo wtedy ludność dostawała niezłe wsparcia, obejmujące także dzieci i wnuków byłych pracowników PGR-ów. Dziwne są zatem meandry pamięci.

Sherbrooke QC, CA, styczeń 2024

Bibliografia Źródła

Archiwum Państwowe w Olsztynie, Komitet Powiatowy PZPR Węgorzewo, zespół 2448, nr 1, k. 171, 289, 339–343, 464; zespół 2448, nr 1, k. 137, 424, 426; 2448, nr 1, k. 5–6; k. 63; zespół 1006, 37, k. 5; zespół 2448,

⁴⁹ Wańkowska-Sobiesiak 2001. Por. też Wilk 1997 (za: *A dąb rośnie...*, s. 214–222).

nr 1: „Komitet Gminny Banie Mazurskie”, k. 3, k. 65, 258, 264–266; k. 65; k. 72; k. 289, 464; k. 35, 56, 66, 137; k. 5–6, 76–90, 131, 135, 146.

Archiwum Państwowe w Olsztynie, zespół 1006, sygn. 37, karta 1–2; protokół z narady roboczej z 10 października 1954 roku

Archiwum Państwowe w Olsztynie, zespół Prezydium GRN w Sępopolu, 676/12, k. 10, 47 *verso*; k. 46 – 47; 676/13; 676/11, k. 3–4, 8, 106–108, 109–113, 121–122; 676/14, k. 6.

Zbiory Specjalne OBN, R-427, R-538, R-1016, R-1017, R-1272.

Opracowania

Achremczyk S. (2018), *Historia Warmii i Mazur*, Olsztyn: Pracownia Wydawnicza ElSet, wyd. 2.

A dąb rośnie... (2002), *A dąb rośnie. Warmia i Mazury w reportażu po 1945 roku*, wyb. T. Prusiński, wstęp A. Sakson, Warszawa–Dąbrówno: Retman.

Bikont A. (1993), *Bez pana, bez plebana*, „Magazyn Gazety Wyborczej”, 18.

Domagała B. (2009), *Ukraińcy na Warmii i Mazurach. Studium procesów asymilacji*, Olsztyn: OBN.

M. Fuszara (2012), *Pojednanie bez konfliktu? Rekompensaty za mienie zabużańskie*, w: J. Kurczewski (red.) *Antagonizm i pojednanie w środowiskach wielokulturowych*, red. J. Kurczewski, A. Herman, Gdańsk: słowo/obraz terytorium, s. 313–352.

Giełżyński W. (1956), *Archipelag ludzi zagubionych*, „Dookoła Świata”, 33.

Interia. Portal wiadomości internetowych, archiwalia, hasło: „Dostawy obowiązkowe”.

Jackowski K. (1987), *A ja nie wyjadę*, „Kultura”, 18.

Karp H.J. (2004), Robert Traba, *Codziennosc zapamiętana. Warmia i Mazury we wspomnieniach Niemców, Polaków i Ukraińców*, Warszawa: Wydawnictwo ISP PAN–Stowarzyszenie „Borusia”.

Koter M. (1997), *Wstęp do inweuntarza. Zespoły komitetu powiatowego PZPR*, Olsztyn: Archiwum Państwowe w Olsztynie.

Kurowski B. (1957), *Śladami bosych stóp*, „Warmia i Mazury”, 3.

Łukowski W. (2009), *Spolecznosc mikroregionu Gołdap w świetle badania sondażowego*, [w:] *Spoleczeństwo na granicy. Zasoby mikroregionu Gołdap i mechanizmy ich wykorzystania*, red. B. Jałowiecki, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe „Scholar”.

Mercik J. (2018), *Młodzież z terenu województwa katowickiego w brygadach rolnych Powszechnej Organizacji „Służba Polsce” w latach 1952–1953*, „Śląski Kwartalnik Historyczny Sobótka”, 1, s. 128–142.

- Milczarek J., Kruszewski J. (1980), *Pekin – zapomniana dzielnica*, „Literatura”, 20.
- Mońko M. (1981), *Sąd nad sukcesem*, „Kultura”, 4.
- Ostałowska L. (1997), *Zdarzyło się w Atlantydzie*, „Magazyn Gazety Wyborczej”, 22.
- Sakson A. (1998), *Stosunki narodowościowe na Warmii i Mazurach, 1945–1997*, Poznań: Instytut Zachodni.
- Sakson A. (2011), *Od Kłajpedy do Olsztyna. Współcześni mieszkańcy byłych Prus Wschodnich. Kraj Kłajpedzki, Obwód Kaliningradzki, Warmia i Mazury*, Poznań: Instytut Zachodni.
- Sarapata A. (1965), *Socjologia zawodów*, Warszawa: Książka i Wiedza.
- Siedlecka J. (1981), *Do obory*, „Kultura”, 7.
- Skowronek F. (2002), *Księga Mazur*, przeł. A. Jachimiak, oprac. R. Tra-ba, Olsztyn: „Borusia”.
- Socha A.J. (1988), *Koleje losu*, Tygodnik Kulturalny”, 3.
- Sulima S. (1946), *Spotkania ze Szczytnem*, „Odra”, 37.
- Szwengrub L.M. (1965), *Badanie socjologiczne w woj. olsztyńskim*, [1965], Zbiory Specjalne OBN, R-427, R-428.
- Szydłowska J. (2001), *Warmia i Mazury w reportażu polskim 1945–1980. O tożsamościach bohaterów miejsc i zdarzeń*, Olsztyn: Wydawnictwa UW.
- Wańkowska-Sobiesiak J. (2001), *Stach bez ziemi*, „Warmia i Mazury”, 4.
- Wilk E. (1995), *Późna jesień na ziemi niczyjej*, „Polityka”, 46.